



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k, 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpisać przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Nowy obrachunek. — Przegrana sprawa p. D. — Kleopatra, nowella p. El—em. — Elektryczność w przemyśle p. Antoniego Sękowskiego. — Samobójstwa we Francyi p. F. N. — Henryk Schliemann p. J. W. — Jerzy Brandes, szkic literacki p. Jadwige Krausharow. — Jasełka krakowskie p. Prawdzi—ca. — Liberum veto. — W perspektywie p. Asana. — Tydzień Polityczny. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Abonentów PRAWDY a zarazem i HISTORII FILOZOFII Langego, którzy przesłali pieniądze na to dzieło za naszym pośrednictwem, uwiadamiamy, że po ostatniem skontrolowaniu ksiąg naszych z książkami wydawcy B. Lesmana wszelkie pomyłki w rozsyłce owej książki zostały sprostowane.

NOWY OBRACHUNEK.

W „Kronice rosyjskiej“ poprzedniego n—ru *Prawdy* zaznaczono ponowne ukazanie się starego widma, znanego pod nazwą *Primirenie russkich s polakami*. Widmo to przywołał p. F. A. Wesołowski, polak. Wyznajemy otwarcie, że daleko chętniej patrzymy na występujących w tej roli rosyjan, niż polaków. O ile bowiem pierwsi mają możność i obowiązek rozbi—rania i rozstrzygania owej sprawy, o tyle drugim sama natura stosunku dwu społeczeństw głos w niej odbiera. Skoro jednakże ukazała się broszura, polskiem piórem po rosyjsku skreślona, musimy na nią zwrócić uwagę czytelników.

Sam autor cel swej pracy widzi „w rozjaśnieniu wielu, bardzo mało znanych publiczności faktów historycznych oraz w wyborze stanowiska dla należytej ich oceny.“

Jakież to są fakty i jakie stanowisko?

Szeregiem dowodów, poczerpniętych z opracowań XVIII w. w Polsce, p. W. dowodzi, że 1) pomysł i przeprowadzenie rozbioru Polski należy się Prusom; 2) Rosya nie przyjęła dobrowolnego w nim udziału (*bezuczastie*) i popełniła jedynie błąd uległości dla polityki germańskiej; 3) Fran—

cya, uważana za „jedyną przyjaciółkę Polski“ — zwiódła ją haniebnie; 4) przyczyny upadku Polski spoczywały również w jej chorym, rozstrojonym organizmie; 5) skutkiem tych względów zgodnemu, braterskiemu pożyciu rosyjan i polaków nie powinno nie stać na przeszkodzie.

W twierdzeniach tych dużo jest prawdy, troszkę nieznajomości rzeczy izłudzeń, oraz nieco naciągania faktów do zamierzonego celu praktycznego.

Pierwszeństwa w myśli podziału Polski nikt Frydrykowi II nie zaprzeczy; podwójna gra Francyi jest również znaną, ale co się tyczy *bezuczastia* Rosyi, to pierwsi jej historycy zdejmą bielmo z oczu naszego autora. Są oni szczerzy i sprawiedliwi. Według znajomego panu W. Sołowiewa, podział Polski był dla Rosyi historyczną koniecznością, następstwem jej umacniania się a nadto rozstrzygnięciem wiekowego sporu między dwoma sąsiednimi narodami. Rosya bez rozbioru Polski — jak sądzi ten historyk — nie pozyskałaby należnego jej w Europie znaczenia, nie przyswoiłaby sobie cywilizacji europejskiej, Polska leżała bowiem na jej drodze do Zachodu. Ten pogląd Sołowiewa gardzi etyką międzynarodową, jest surowy, okrutny, ale daleko prawdziwszy, niż polityczna sofistyka p. Wesołowskiego, który często mniema, że przemileczenie pewnych faktów usuwa ich byt w historyi.

Sprawdzając rachunki historyczne, autor dostrzega jeden tylko błąd w postępowaniu Rosyi, mianowicie, że nie zabrała całej Polski, lecz jej część a inne pozostawiła na pastwę Niemcom.

Jakkolwiek przytoczone dowody dwulicowości Francyi nie są w nauce nowe, wskrzeszenie ich jednak dostarcza p. W. istotnie skutecznego środka przeciw zadawnionej sympatyi naszej dla obłudnej przyjaciółki. Poniekąd też słusznie woła

on: „Niech każdy zdrowo myślący polak odczuje głęboko wpływ Francyi na losy Polski, niech oceni krytycznie przywiezione przez nas fakty historyczne, a niezawodnie przekona się, że Francya należała zawsze do najniebezpieczniejszych wrogów: schlebiała polakom a jednocześnie kuszeniem spychała ich w przepaść.“ Rzeczywiście, ile razy z pod obłudnej maski wyszła prawda, mówiła słowami ks. de Broglie: „Jakkolwiek los oczekuje Polskę, nie będzie on miał ani związku, ani wspólnych interesów z Francją lub innemi państwami. Wobec Francyi i Europy Polska stała się członkiem, wyłączonym ze społeczeństwa, umarłym cywilnie, pozbawionym własności i praw osobistych.“ Gdyby innych świadectw brakło, to jedno dla udowodnienia przyjaźni francuskiej chyba wystarczy.

Ponieważ autor wprzega fakty do swojej tezy, nie dziwnego, że one ją pociągają w rozmaite strony. Na jednej stronie (13) przyczyną upadku Polski jest przeciwność zasady jej bytu z ustrojem Rosyi; na drugiej (42) — indyferentyzm XVIII w. oraz polityka nieszanująca cudzych praw i poczucia sprawiedliwości, na innej (50) — ucisk ludu przez szlachtę i usunięcie go od życia obywatelskiego i politycznego, na innej (53) wreszcie — *Drang nach Osten*.

Wogólności rzecz można, że historyczna podstawa wywodów autora jest najsłabszą podwaliną jego broszury a rachunki z przeszłością tak dalece nieściśle, że nie znajdujemy w nich wcale tego, co historia zapisała po dacie ostatniego rozbioru. Przeskok ten był nieunikniony dla dojścia do założonego celu. Nasuwa się tylko pytanie, czy owa droga, mianowicie historyczna jest bezpieczną i niezbędną? Czy nie udaremnia swych usiłowań każdy apostoł „primirenia“, który chce je osiągnąć za pomocą pokwitowania obu stron z pretensyi prze—

szłych? Według nas jest to zwykły i naturalny rezultat podobnego przedsięwzięcia. Kto chce z nadzieją powodzenia zbudować most zgody dwu narodów, musi go oprzeć na obustronnych potrzebach i korzyściach obecnych, nie zaś na sztucznym i wątpliwym podmurowaniu dziejowem. Pojmujemy pisarzy, którzy powiadają: zamknijmy przeszłość na klucz przebaczenia i zbudujmy z wzajemnych ustępstw oraz usług nowe życie; ale nie pojmujemy tych, którzy chcąc pobratać dwu przeciwników, zaklejają jednemu z nich rany bibułką i wmawiają w obu, że nigdy z sobą nie walczyli. Dowodów historii podrobić niemożna, zawsze ona zaprotestuje przeciw sfałszowaniu jej podpisu. Z tego też względu, p. W. osłabił sprawiedliwość swego sądu w procesie rosyjsko-polskim, wydawszy swój wyrok na podstawie „dokumentów XVIII w.“

Daleko lepiej byłby zrobił, gdyby w rozstrzygnięciu tej sprawy poprzestał na przesłuchaniu obu stron w pokoleniach żyjących, czem właśnie zajmuje się druga część jego książki. I tu wszakże żałować musimy, że autor podnosząc naszą rację życia, zbyt słabo uwzględnił jego szczegółowe tytuły. Popisanie się szeregiem znakomitych aktorów i aktorek polskich wśród ogólników, wysławiających inne nasze zdobycze cywilizacyjne, słabym ciężarem pada na szale wątpliwość o żywotności i sile duchowej narodu. Można i trzeba było złożyć na nie więcej i bardziej przekonujących dowodów.

Gdyby nie te stronicie książki, w których p. W. wzywa naród rosyjski do sprawiedliwości i przyjaźni, do położenia tamy zalewowi germańskiemu, sięgającemu swymi falami tam, skąd żywioł polski ustąpił, do Małorosyi, trudno byłoby odgadnąć, dla czego swe myśli wypowiedział po rosyjsku. Jeśli w znacznej części szło mu o wykazanie, że „oskarżanie narodu rosyjskiego w sprawie upadku i rozbioru Polski, jest *nielogicznym, bezpodstawowym i niesprawiedliwym*,” to chyba nie pragnął przekonać tej strony, w której języku przemówił. Bo przecież oskarżenia tego nie podnosili pisarze rosyjscy; czyż więc autor

chciał w ich szeregu rozprawić się z historyczną nierzetelnością literatury polskiej? Mimo zaznaczonych wyżej punktów, pytanie to pozostawia nas w wątpliwości co do praktycznego założenia autora. Przez większą część broszury i na przekór twierdzeniom dalszych jej stronic dowodzi rosyjanom, że polacy nie znają swej historii, bo nie wiedzą, kto był ich wrogiem a kto przyjacielem, kto winnym a kto niewinnym, wreszcie wkłada w usta pierwszym słowa serdecznego rozczulenia. Czy autor sądzi, że to rozczulenie w teraźniejszości wywołać można tylko za pomocą pochlebstwa w przeszłości, kosztem jej prawdy?

PRZEGRANA SPRAWA.

Teatromania, wyłączne niemal skierowanie uwagi na przedmioty artystyczne, pomijanie zasadniczych spraw życia ogółu — wzbogaciło nas takim chaosem i bezładem pojęć socjologicznych, że trudno byłoby znaleźć drugą literaturę, w którejby na tej niwie tyle porastało chwastów. Gorszem jeszcze od wyznawania przekonań wstecznych jest to, że zwykle nie mamy żadnych. Daremnie trudzilibyśmy się o oznaczenie stanowiska jakiejś partii, gazety lub książki wobec podstawowych zagadnień społecznych. Kto jest zwolennikiem produkcji wolnej a kto ograniczonej, kto widzi szczęście narodu we własności większej lub mniejszej, a kto w zbiorowej, kto apostołuje katechizm arystokracji, kto demokracji, kto mieszczaństwa, a kto ludu — żaden domysł wśród płataniny sprzecznych twierdzeń odgadnąć nie zdoła. Nic też dziwnego, że istnieją u nas pisma demokratyczne, karmiące swych czytelników pochwalnymi opisami zbytkowych uciech arystokracji, lub inne, prześladowające najłżejszy objaw liberalizmu w kraju, a zapuściami od okłasków dłońmi bijące brawo radykalizmowi zagranicznemu.

Od czasu do czasu wszakże gazety nasze usiłują uporządkować swe sądy społeczne a przynajmniej uderzyć mocno pewne struny, które głośniej w ich instrumencie odzywać się winny. Na jednej z takich strun, mianowicie na posłannictwie „własności większej“ zagrał świeżo w *Wiek* p. C. Re-

klewski. Panująca nuta tej pieśni znana. Licząc też na jej popularność autor na wstępie bez zająknięcia się oświadcza, że „w żywiole ziemiańskim ześrodkowywa się przeważnie reprezentacja krajowego żywiołu, zasób sił moralnych i kierunek zasad(?), na podstawie których społeczeństwo dalszy swój rozwój opierać powinno.“ Ponieważ twierdzenie to, z którejkolwiek strony podważone, wywraca się, pozostawiamy więc łatwe zadanie obalenia go czytelnikowi, który wie, jaki jest u nas liczebny i umysłowo wartościowy stosunek ziemianstwa do innych żywiołów, niezasługujących u p. R. ani na tytuł „reprezentacji krajowej,” ani na posiadanie sił moralnych i zasad. Idzie nam tu bowiem głównie o rozbiór piasku, rzuconego pełną garścią w oczy społeczeństwu, jakoby niszczącemu się rozdrabnianiem własności, parcelacją.

Autor, patrząc na „ucieczkę ze stanowisk przekazanych dziejowem posłannictwem,” widząc, jak posiadacze majątków, rozprzedawszy je, wynoszą się do miast i „pomnażają klasę rentierów,” staje zrozpaczony w kolumnach *Wiek* i wykazuje materyalne oraz moralne następstwa tej nieszczęsnej rejterady.

Naprzód tedy materyalne.

„Tylko gospodarstwa większe, a raczej średnie — powiada p. R. — połączone z przemysłem, stanowią podstawę dobrobytu krajowego; tylko system intensywny, oparty na hodowli inwentarza, melioracjach rolnych, zastosowaniu ulepszonej a oszczędzających czas i pieniądze maszynach, na zakładach przemysłowych, przetwarzających surowe produkty rolne, może odpowiedzieć wymaganiom, może dać odpowiednią rentę gruntową.“ Ani tych środków, ani potrzebnej inteligencji nie znajdujemy u drobnego posiadacza ziemi.

Gdybyśmy na ten dogmat p. R. rzucili światło z polskich książek i pism rolniczych, przedstawiłby się nam dziwny obraz. Mianowicie, dowiedzieliśmy się z tych dobrze poinformowanych źródeł, że gospodarstwo rolne u nas znajduje się w stanie nader opłakanym, że nasi ziemianie trzymają się wskazówek tradycyjnych i nie znają doświadczeń nowszych, że zastój stężył uprawę roli w formy nieruchome, że wyzyskiwanie jej odbywa się nieudolnie, że w pismach agronomicznych trzeba pomieszczać fejletony i powieści, ażeby przedostały się do dworów — że, słowem, ów „systemat intensywny“ w własności większej i średniej nie daje u nas tak świetnych rezultatów, ażeby go można było użyć za dowód ekonomiczny.

1)

KLEOPATRA.

Nowella.

Pannie W. Z. Kościalkowskiej
w przyjaznym upominku
Autor.

I.

Dyrekeyi jednego z teatrów stolicy nadesłano bezimiennie czteroaktową, wierszem napisaną tragedję pod tytułem: *Kleopatra*. Przeznaczono ją dość prędko do grania i rozdano role najlepszym aktorom; zauważono bowiem, że sztuka ta posiadała wielkie zalety sceniczne i była dziełem prawdziwego, poetycznego natchnienia. Zainteresowali się nią bardzo i artyści i literaci, zaś autorstwo jej przypisywano pierwszorzędnym talentom piśmiennictwa współczesnego. Były to zresztą tylko domysły nieuzasadnione. Miejscowe dzienniki

poczęły wkrótce wzywać autora, by nareszcie odsłonił przyłbicę, a nawet zażądała tego urzędownie i reżyserja teatru przez pisma publiczne. Wszystko to jednak było napróżno. Autor *Kleopatry* nie dawał o sobie najmniejszego znaku życia.

Fakt ten niezwykle obudził powszechnę uwagę. O *Kleopatrze* i jej kochankach, których nieznany a niepospolity autor tak świetnie do życia powołał, rozprawiano w małych i większych kółkach literackich, w skromnych pokojach mieszczańskich i złocistych salonach arystokracji lub tych, którzy naśladować i łączyć się z nią zwykli. Był to ciekawy i ciągle przedmiot do rozmów towarzyskich nie tylko podczas pogodnej jesieni, dżdżystego adwentu, lecz nawet wśród szalonych zabaw i tańców huczego karnawału. A nawet... podczas pewnej, wystawnej bardzo, lukullusowej prawdziwej wieczerzy, rozmowa po większej części toczyła się o tragiedyi, która niezadługo już miała zaspokoić ciekawość tylu osób.

Było to na balu, wydanym przez jednego z krezusów inajpotężniejszych przemysłowców w kraju, na część świeżo wykonanej willi, w arystokratycznej dzielnicy

miasta. Pałac ten, zbudowany z niesłychanym przepychem i elegancją, należało nareszcie pokazać ludowi... lecz bardzo oględnie wybranemu. Krezus zaprosił więc na salony, urządzone podług najrozmaitszych stylów, tych tylko, którzy urodzeniem, talentem, powołaniem, majątkiem, lub bogactwem mundurem, od zwykłych różnili się śmiertelników. Licznie zebrany gościom kazano podziwiać meble, sprowadzone wprost z Paryża, — urządzenie sali jadalnej, szczęśliwym trafem zakupione w Wenecyi za marnych franków sto tysięcy, — gobeliny ujęte w stare, dębowe ramy, — buduary, pełne starej saskiej i sewskiej porcelany, a nadewszystko podziwiać i spożywać polecono najwyszukanwsze potrawy, na srebrnych podawane półmiskach, właśnie podczas owej wieczerzy, w zimowym ogrodzie krezusa.

Nic dziwnego, że wśród bujnej i ożywczej zieleni, podczas silnego na ulicy mrozu i przy tak wspaniale podawanej wieczerzy, humor biesiadników był nieporównany... Hrabia Zyzio, małomówny zwykle, dziś z trudnością usiłował i myśli słowa utrzymać na wodzy; lecz siedząca tuż przy nim panna Lola, córka gospodar-

Pobawmy się wszakże cackiem optymizmu i przypuśćmy z p. R., że gospodarstwa większe wiodą się u nas wzorowo: jaką one dają wskazówkę społeczeństwu? Utrzymać obecne stosunki ziemiańskie — folwarki, otoczone wiankiem drobnych udziałów chłopskich? Korzyść dla tych ostatnich, a zatem dla większości zaludnienia rolnego żadna. Bo jakkolwiek p. R. cuda prawi o dodatnim wpływie dworu na chatę, przyznać musi, że włościanin nie może nigdy naśladować „diedzica“ w sposobie uprawy ziemi. Cóż z tego, że będzie widział ciągle w gospodarstwie dworskiem młóckarnie, sieczkarnie, żniwiarki, młyny parowe, tartaki i t. p., kiedy nie będzie miał za co kupić sobie tych maszyn „oszczędzających czas i pieniądze.“ W najlepszym więc wypadku stosunków dotychczasowych jednostki wyciągną „odpowiednią rentę gruntową,“ a masy — nie. Nasuwa się tu p. R. pewna myśl, ale odpędza on ją machnięciem ręki jak natrętą muchę. „Odpowie mi ktoś — mówi — że podobne ulepszenia całe gromady *viribus unitis* wprowadzać mogą. I ja myśl tę podzielę, ale w chwili gdy ujrzę oświatę ludu na wysokim szczeblu stojącą; gdy przekonam się, że zasady solidarności, braterstwa, wspólnego zrozumienia i ocenienia potrzeb i korzyści ludowi temu obcymi nie będą. Ale do tego.. bardzo a bardzo daleko.“ Jeżeli p. R. myśl tę istotnie podziela, to czy nie słuszniejby zrobił, nawołując do oświaty ludu, niż do utrzymywania większej własności, która dziś pożądanym owoców nie daje a formą stosunków rolnych na przyszłość być nie może? Daleko... bardzo daleko! — woła autor. Nie każda droga krótsza jest lepsza — odpowiadamy. Bez wątpienia, dzisiejsze gospodarstwa drobne nie mogą się zdobyć na wiele środków uprawy ziemi, możliwych jedynie w szerszym jej zakresie; ale dla czegoż nie wierzymy, że parcelacja, powiększając ich rozmiary, podniesie dobrobyt a z nią oświatę, która uświadomi ludowi potrzebę i użyteczność pracy stowarzyszonej? Że dziś gromady wiejskie nie mają zbiorowych młocarni, młynów lub spichrzów — nie dziwnego, skoro nie mają nawet zbiorowych sikawek, i każdy musi własną konewką zalewać pożar swego domu. Ale wszystko to mieć będą, gdy otrzymają to, co jest ważniejsze od ziemi, młocarni, młyna, sikawki i w czym mieści się zaklęty cały postęp ludu — oświatę. Zamiast tedy chwytąć za poły uciekających do miast ziemian i zaklinać ich na puste słowa „posłannictwa dziejowego,“ lepiej pomyśleć o tych, którzy pozostają przy ziemi i nie pomnażają zastępu „rentierów.“ Posłannictwo dziejowe spełnia ten, kto

podtrzymuje materialne i duchowe życie narodu, a nie ten, komu przypinamy niezasluzony tytułik zbawczej roli. Po co ludzi siebie i innych pustą frazeologią! Czy posiadacz większej własności trzyma ją dla tego, żeby spełnić „posłannictwo dziejowe,“ a opuszcza dla tego, że mu się przezwierzył? Bynajmniej; trzyma dla tego, że mu ona przynosi dochody dobre, a porzuca, gdy daje złe. Wszyscy ci dziejowi mężowie, którym p. R. tak błyska przed oczyma wielką misją, zamieniają swe folwarki na kamienice lub garbarnie, jeśli się upewnia, że od swych kapitałów otrzymają większy procent.

A rola cywilizacyjna ziemianstwa! powiada p. R.

I znowu pusty, nadęty frazes. Kto bowiem zna stosunki a nie czuje chęci osłaniać ich publicznie kłamstwem, przyznać musi, że w przeciętnym ich układzie owa rola dworu ogranicza się na rekrutowaniu sobie z włościan służby, na używaniu ich do roboty w polu i wypasania zwierzyny w lesie. Inne wpływy są wyjątkami, otrębywanymi przez gazety na wszystkie cztery części świata. A może obecne są wystarczające? Bo jednym z ujemnych, według p. R., następstw nieobecności większych właścicieli ziemskich, jest to, że „nie ma zabaw, niema *polowań*, niema życia.“ Zależy, smutnem być musi u nas oddziaływanie własności większej na mniejszą, jeżeli *polowania* uważamy za czynnik cywilizacyjny. Naiwność apostołów tego wpływu dochodzi do zdumiewających rozmiarów. Podobnie jak mniemają, że gdy pan puści na pole żniwiarkę, to chłop prędzej zboże swoje zbierze, również sądzą, że gdy panny grają we dworach, dziewczęta wiejskie tańczą w chatkach. Apostołowie ci tak stanowczo rozprawiają o cywilizacyjnym posłannictwie posiadaczy większej własności, jak gdyby ci ostatni zwykłe z mniejszą spotykali się częściej, niż w procesach o skradzione drzewo lub wypasioną łąkę. Policzmy obywateli, dbających o dobro ludu i jego oświatę, dzielących jego dołę i niedolę, a zobaczymy, ile nam ten rachunek zajmie paleców.

Zresztą, po co my mamy dowodzić tej prawdy; niech głos zabierze i zarazem świadek swego konsekwencji wystawi tenże sam dziennik, w którego łamach p. R. tak parcelację zgromił a w którym (235) ktoś inny tak twierdzi: „Reprezentanci większej własności, z małymi wyjątkami niestety, albo nie mieszkają w swoich majątkach, albo, jeśli są na miejscu, to nie gospodarują sami, lecz wydzierżawiają majątki. Tem samym większa własność *chybia swego celu*, bo zamiast dania przykładu, zachęcenia

mniej możnych swoją gorliwością, przygarńnięcia kilkunastu rodzin oficyalistów, praktykantów, uczniów gospodarskich i uczniów rzemieślników, którzy w większym majątku są nieodzowni, oddaje swoje dobra ludziom, których umysł często nie sięga wyżej nad medytowanie nad ułówniem rubla. Ulepszenia, ozdoby majątku, myśl jakaś szlachetniejsza nie zawita do końca świata u takich dzierżawców.“

Wiemy, co p. R. i jego współwyznawcy odpowiedzą nam na ten bukiet spostrzeżeń, z pół powiatu zwiachelskiego zebrany: u nas inaczej... A gdybyśmy znowu przedstawili dowody z powiatu plockiego lub gostyńskiego, przeniesionoby ów niewidziany raj ziemiański do radomskiego lub kieleckiego. I tak gonilibyśmy się, jak dotąd gonimy się z powiatu do powiatu, co wyznawcom dziejowego posłannictwa większej własności znacznie ułatwia apostołstwo. Ostatecznie fakt pozostanie faktem, że posiadłość ziemi u nas rozłamuje się, że proces ten dźwignie dobrobyt i oświatę ludu, pomimo „dziejowego posłannictwa,“ oraz obron ekonomicznie *przegranej sprawy*.
D.

ELEKTRYCZNOŚĆ W PRZEMYSŁE.*)

I.

Według badań geologicznych, pokłady węgla kamiennego, względnie do rosnącego wciąż zużycia paliwa w Europie, wystarczyć mogą zaledwie na dwa wieki, po których upływie nowożytna cywilizacja utraci swe podstawy bytu, jeżeli siła ciepła, ożywiająca przemysł, nie będzie czerpaną z innych źródeł. Stąd konieczność poszukiwań nowej dźwigni w naturze, mogącej zastąpić węgiel.

Zadanie nie jest łatwem do rozwiązania, gdyż trudno znaleźć ciało, w którymby siła ciepła słonecznego tak potężnie była skupiona, jak w węglu kamiennym. Geologowie twierdzą, iż dziewięć milionów wieków trwania okresu węglowego składało się na wytworzenie tego palnika, który rozkładając się w odpowiedniej temperaturze, oddaje nam ilość ciepła równo-

*) Wystawa elektryczna w Paryżu zajęła tem zagadnieniem świat naukowy i przemysłowy. Niezależnie od późniejszego zsumowania rezultatów owej wystawy, pomieszczamy obecny artykuł, uprzedniający czytelnikom ważną kwestję naszego wieku (*Red*).

stwa domu, przyjmowała wszystko z czarnym uśmiechem zadowolenia.

Hrabia Zyzio miał wielki majątek, przytem wielkie długi, wielkie do kart i płci pięknej zamiłowanie, stąd wszyscy w tym domu, począwszy od gospodarza, skończywszy na służbie, przyjmowali bardzo unieście tego króla złotej młodzieży.

Nieopodal od panny Loli siedział pan Marek, młody jeszcze człowiek, felietonista brukowego dziennika *Kolek*, w którym wszystkie artykuły swego pióra, podpisywał pseudonimem „Marek Aureliusz.“ Z niezbitym przekonaniem o wielkości swego talentu pisarskiego, zbywał półsłówkami zagadującego go sąsiada.

— Pan, o ile słyszałem, pisywał dawniej poematy? — pytał sąsiad niedyskretnie.

— O tak!... — odrzekł nareszcie z westchnieniem p. Marek — dawniej, to się pisało... o tak!... i ja kiedyś byłem Farysem...

— Słyszałem, że i pan przyjął podobno udział w ogłoszonym konkursie dramatycznym — pytał znów sąsiad natrętnie.

— Napisałem nowy dramat.

— Pod tytułem?...

— Tytuł?... pan pyta tak obojętnie, a wszak to rzecz nie mała. Dobry tytuł, to przecie wszystko znaczy. Ja znalazłem tytuł świetny dla swego dramatu, którego dziś jeszcze wymienić nie mogę...

— A w ilu aktach?...

— W pięciu, lecz napisałem aktów półtora... Chciałem to posłać tym... sędziom konkursu, żeby choć z tej odrobiny poznali, co to jest talent prawdziwy, lecz następnie rozmyśliłem się... nie warto...

Chciał powiedzieć coś więcej ten autor niedokończony dramatu, lecz wstrzymał się, spostrzegłszy skierowane ku sobie szydercze spojrzenie siedzącego naprzeciwko, pana Agatona, surowego krytyka *Dzwonu*, niedawno założonego organu, który przyrzekał w prospiekcie zbratać tradycję narodową z towarzystwami akcyjnymi, a religię z telefonem. Krytyk ów pragnął wtrącić się do rozmowy i w proch zetrzeć z etatu spadłego Farysa, lecz dał pokój, pomysławszy sobie:

— Nie warto znęcać się nad taką miernotą!...

I zwrócił się w stronę, z której dochodziły go głosy bardzo żwawo prowadzonej

rozmowy, między pewnym, w błyszczący mundur przystrojonym jegomościem, a wujciem Janem, krewnym i przyjacielem domu.

Jegomość ów, był to wojak, bohater z niedawnej przeszłości, widziany i przyjmowany bardzo chętnie na salonach arystokraty rodowej i pieniężnej; a wujciem Jan, mający po za sobą świetną, przeszłość donżuańską, był krewnym i przyjacielem nie tylko tego jednego domu. Okoliczność ta była powodem, że wiele bardzo pań bez żadnej ku temu legitymacji nazywało go wujciem, a on, w żartach i na serio, nazywał znów ciocią i wycalał rączki każdej, która miała szczęście choć trochę mu się podobać.

Przy stole miał obok siebie dwie młode i wesole mężatki, że zaś ładne były bardzo, więc całował je wciąż w ręce i sprzeczał się z nimi, że królową balu był nie kto inny, lecz tylko panna Lola.

— Ależ wujciu! — przerwał, poprawiając akselbandy, siedzący obok wojak, gdyż i on w pewnych fazach swego umysłu uważał się za młodą kobietę i pana Jana nazywał wujciem, — ależ wujciu, ubliżasz wszystkim damom tu obecnym!...

ważną sumie ciepłostek, nagromadzonych przez wieki pod wpływem słońca.

Życie natury, objawiając się ciąglą przemianą materii, ma także swą przyczynę w bezustannej działalności ciepła słonecznego, dzięki któremu, prócz ciepła nagromadzonego w węglu kamiennym, istnieje w świecie bardzo wiele innych sił. Ruchy wód i wiatrów są tego najlepszym dowodem.

Woda, ogrzana ciepłem słonecznym, zamienia się na parę, podnosząc się w wyższe warstwy atmosfery, gdzie tworzy obłoki, a po zbytelnym naładowaniu ich i zmianie temperatury, zgęszczając się, spada następnie w postaci deszczu i sprowadza spadki wód.

Atmosfera, otaczająca kulę ziemską, będąc gęstszą bliżej ziemi, skupia w sobie większą ilość ciepła słonecznego nad ziemią, niż w wyższych jej sferach; — stąd różnica ciśnień i uruchomienie różnych warstw powietrza.

Skutki tych przemian spożytkowywane są dzisiaj, w pewnej mierze, za pomocą silnie hydraulicznych; lecz gdy węgiel kamienny wyczerpie się, wówczas ludzkość zmuszona będzie szukać ocalenia swej cywilizacji w całkowitem zużyciu sił poruszających wody i wiatry, dla wytworzenia nie tylko siły, lecz ciepła i światła, któreby można było skupiać, przenosić i rozdzielać stosownie do potrzeb przemysłu.

Ścieśnione powietrze, pozwalając zbierać siłę i przechowywać ją, rozwiązuje w części zadanie, lecz w przypadku zamiany pracy na ciepło i światło, droga ta wymaga za wiele przewodników mechanicznych, więc jest mniej praktyczną.

Zużycie pracy spadających wód i poruszających się wiatrów, w ogólnem znaczeniu tego wyrazu, osiągnięte być może jedynie tylko przez zamianę ciepła słonecznego, będącego przyczyną tych ruchów wód i wiatrów, na elektryczność, co stanowić będzie, w chwili gdy węgla zbraknie, główną dźwignię przemysłu.

Dotychczas w poszukiwaniu źródeł elektryczności, czyli że tak nazwę „elektroodników“ (*générateurs d'électricité*) postępowano w dwojaki sposób: mechaniczny i chemiczny. Pierwszy z nich polega na zamianie pracy mechanicznej na elektryczność.

Źródła elektryczności mechaniczne, czyli maszyny elektro-magnetyczne albo dynamo-elektryczne: de l'Alliance, Gramma, Siemens, są wynikiem tych idei.

Jakikolwiek motor, maszyna parowa, koło hydrauliczne lub wiatrak, wytwarzając pracę, porusza wał, na którym znajdują się cewki, owinięte drutem miedzianym, i takowe obracają się w bliskości magne-

sów — a zrodzony prąd indukcyjny, przerywany lub ciągły, przesyłany za pomocą drutów zewnętrznych, sprowadza wszystkie zjawiska elektryczne, a w szczególności przyciąganie magnetyczne, będące działaczem w motorach elektrycznych.

Gdy paliwo się wyczerpie, wówczas maszyna parowa pozostanie tylko jako pomysł, i jeżeli nowe odkrycia nie wskażą możności zapewnienia przemysłowi siły światła i ciepła, wtedy jedne tylko motory hydrauliczne stosowane będą do poruszania maszyn, wytwarzających mechanicznie elektryczność.

Doświadczenia, wykonane z maszynami Gramma, obecnie używanymi w tym celu, okazały, że ich wydajność zmienia się od 32% do 50%, stosownie do prędkości, jaką im nadajemy, i do odległości elektrodnika mechanicznego od motoru elektrycznego, odbierającego działanie prądu. Widzimy więc, że potrzeba zużyć dwa do trzech koni parowych, aby wytworzyć jednego konia elektrycznego w maszynie Gramma. Zatem źródła mechaniczne rozwiązują zadanie oszczędnego wytwarzania elektryczności.

Od motoru hydraulicznego lub też od kotła i motoru parowego do elektrodnika mechanicznego, a na koniec do motoru elektrycznego, droga jest zbyt długa. Nie wchodząc tutaj w badania istoty rzeczy, zaznaczamy, iż czasem zdoła kto może wyrugować maszynę parową oraz elektryczną Gramma, a elektryczność czerpaną będzie bezpośrednio z węgla i wody, gdyż wszystko, co się znajduje obficie w naturze, ma swoje przeznaczenie i spożytkowaniem być musi odpowiednio do rozwoju postępującej wciąż cywilizacji.

Maszyna parowa zużywa zaledwie $\frac{1}{10}$ część ciepła zawartego w węglu, z powodu strat sprowadzonych ogólnem promieniowaniem ciepła, ulatywaniem w powietrze z dymem, oraz parą jeszcze nieoziębioną zupełnie, a wychodzącą z cylindrów parowych; więc jeżeliby odkryto sposób wydobywania elektryczności wprost z węgla, przez bezpośrednią zamianę ciepła na elektryczność, naówczas, być może, iż $\frac{9}{10}$ części obecnie tracącego się ciepła przy spalaniu węgla byłoby spożytkowane, i wtedy węgiel zamiast na dwa wieki, wystarczyłby na 2,000 lat, a ilość w ten sposób otrzymanej elektryczności byłaby znacznie większą, zatem tańszą od otrzymanej z elektrodników mechanicznych.

Źródła elektryczności chemiczne, czyli stopy elektryczne, uważane ze stanowiska przemysłowego, są stosunkowo jeszcze kosztowniejsze, słabsze od źródeł mechanicznych, oraz dają natężenia niejednostajne,

których zamiana na pracę mechaniczną jest niepewna.

Wziawszy pod uwagę, czy to stopy pierwotne o jednym płynie, systemu Volty, Wollastona, i t. d., czy też ulepszone, przez użycie dwóch płynów, Daniella, Bunsena, Leclanche'a i t. d., wszystkie te przyrządy polegają na spalaniu w nich cynku za pomocą kwasów: siarczanego albo azotowego. Doświadczenia wykazały, że chcąc wytworzyć w ten sposób siłę jednego konia elektrycznego 75-cio kilogram-metrowego, potrzeba zużyć na godzinę 2 kgr. cynku, które kosztują 1,50 fr., oraz za 2 fr. kwasów t. j. razem wydać 3,50 fr., wówczas gdy takż sam koń parowy kosztuje tylko 0,10 fr., t. j. 35 razy mniej, co stanowi najważniejszą przyczynę niepraktyczności źródeł chemicznych.

W każdym systemie stosów jednopłynowych, palenie cynku za pomocą kwasu siarczanego, dla wzbudzenia elektryczności, sprowadza wytwarzanie się siarczanego cynku, który łatwo rozpuszczając się w wodzie, znajdującej się w stosie, stopniowo osłabia prąd, zaś wydzielający się jednocześnie wodór stanowi wielką niedogodność w praktyce.

Stopy dwupłynowe usuwają wprawdzie niedogodność wydzielającego się wodoru przez spalanie go, albo za pomocą siarczanu miedzi w stosie Daniella, albo też za pomocą kwasu azotowego w stosie Bunsena; lecz ponieważ ten płyn dodatkowy znajduje się w naczyniu dziurkowanym, przeciska się więc przez pory naczynia, niszczy cynk bezużytecznie i sam zużywa się bardzo prędko. W skutek tego, stopy Daniella dają prądy za słabe, chociaż długotrwałe, a stopy Bunsena wytwarzają prądy silne, lecz słabnące stopniowo w krótkim czasie. Jest to druga niedogodność, utrudniająca zastosowanie źródeł chemicznych w przemysle elektrycznym.

Oprócz tych niedogodności dodać jeszcze musimy, że chociaż suma natężeń prądu elektrycznego, wytworzonego przez spalanie cynku, za pomocą kwasu w stosie, jest równoważną sumie prędkości pary, wytworzyć się mogącej przez spalanie takiejże samej ilości cynku, za pomocą powietrza w ognisku zwyczajnem parownika, — to jednak, z samej natury elektryczności, w obecnym stanie rozwoju elektrodników chemicznych, wynika trudność zamienienia na pracę mechaniczną tej części natężeń prądu elektrycznego, którą zużyć potrafimy mechanicznie. Nie zachodzi to przy spożytkowaniu w maszynach części ciepła zawartego w parze wodnej.

W motorach parowych umiemy zamienić, praktycznie mówiąc, na pracę mecha-

— *Mais mon cher général!* — przerwał wujcio Jan, — to nikomu nie ubliża, że panna Lola jest dziś taka śliczna. Spójrzcie państwo i osądźcie sami. Oczy wielkie, czarne, błyszczące, jak dwa węgle, też same oczy, które otrzymała w spadku po swej babce, hiszpance. Co to musiała być za kobieta! jaka to szkoda, że mnie nie znała!... Przy takich oczach — dodał, unosząc się i machając rękoma, — cera biała, matowa, na przekór czarnym, jak kruk, włosom! A biust? a ramiona?... Co?... Przyszanacie panie ze wstydem, że najpiękniejsza w całej stolicy!... A jak ona się dziś ubrała!... ile to konferencji być musiało z panią Józefiną!... jakie to gustowne te złote przepaski w jej kruczonych włosach!... Doprawdy! ta kobieta przypomina mi Kleopatrze!...

— Kleopatrze?... — odezwała się z uśmiechem jedna z sąsiadek wujcia, — a gdzie jest żmija?...

— Żmija jest każda z pań, która jej zazdrości — odrzekł rezolutnie wujcio; i naławszy sobie pełen kielich musującego nektaru, powstał i wygłosił następującą orację:

— Panie i panowie! Narody, stojące na jakimkolwiek stopniu cywilizacji, składały zawsze hołd piękności, przyobleczonej w żywe kształty niewieście. Trudno zaprzeczyć, że i my, tu obecni, stanowimy częstkę narodu; trudno zaprzeczyć, że i my stojemy na pewnym stopniu cywilizacji; więc biesiadnicy tego stołu, oddajmy hołd najpiękniejszej wśród nas, wypijmy zdrowie Kleopatry!...

— Wiwat!...

— Niech żyje!... — zawołali panowie i wychylili duszkiem kieliszki.

— Kto? — zapytali niektórzy, wprzód wychyliwszy kielichy.

— Kleopatra — odrzekł jeden z lekarzy, pilnie wyszukujący ananasowych kawałków w kompozycie.

— Lecz któż to taki?

— Alboż ja wiem — odrzekł — kazali pić, więc piję; mogę zaś pana zapewnić, że wedle ostatnich postępów medycyny jest to najzupełniej wszystko jedno, czy wypiję za pańskie, czy za Kleopatry, czy też za swoje zdrowie...

— Kto jest ta Kleopatra, panie Gustawie? — zapytał sąsiada siedzący przy

końcu stołu, młody ulubiany przez słuchaczy, profesor uniwersytetu.

— Kleopatra? — odrzekł, zająknawszy się sąsiad — nie wiem... nie o niej nie słyszałem...

— Słyszałeś kolego! — rzekł śmiejąc się profesor — skoro skończyłeś filozoficzny wydział uniwersytetu, tylko nie wiesz, o kim obecnie jest mowa. Czy nie czasem o pannie Loli, w którą wpatrujesz się takim zachwytem? Daj pokój i nie zaprzątaj sobie nią głowy, to nie dla ciebie kobieta.

— Ja?... ja?... ja nie wiem — odrzekł zmieszany i zarumieniony Gustaw — ja nie wiem, kto jest Kleopatra.

— To musi być zapewne mowa o Kleopatrze, tym nowym dramacie nieznanego autora — pochwycił Marek Aureliusz, który przed chwilą dwa kieliszki wychylił za zdrowie Kleopatry.

— Czy pan wiesz, kto jest autorem tej sztuki — zapytał profesor.

— Nie wiem — odrzekł feletonista *Kotka*. Lecz uśmiechnął się w tak dziwny sposób, że w uśmiechu tym pragnął ułatwić widzom rozwiązanie zagadki.

Niebawem też od Kleopatry, królowej bału, rozmowa poszła do faktu, będącego

niczną zaledwie $\frac{1}{10}$ część ciepła wytworzonego w ognisku, lecz spożytkowanie to jest pewne i dokładnie określone; w motorach zaś elektrycznych, obecnie znanych, nie wiemy, jak znaczną jest ta część elektryczności wzbudzonej w stosie, którą usiłujemy zmienić na pracę mechaniczną.

Wiadomo z doświadczenia, że prąd elektryczny, przepływając przez system materialny, wytwarza w nim: rozgrzanie swych przewodników, wydzielanie iskier, prądy indukcyjne, namagnesowanie i t. p. Jedno tylko przyciąganie magnetyczne — i to jeszcze z trudnością — zużyć potrafimy mechanicznie, gdyż wszystkie inne zjawiska, towarzyszące przepływowi prądu elektrycznego, giną bezużytecznie, a co ważniejsza, że ta część pracy elektryczności, która je tworzy, nie jest stałą, gdyż zależy od oporów, napotykaných przez prąd w okręgu elektrycznym (*circuit électrique*), które nigdy nie mogą być stałymi. To też przyciąganie magnetyczne jest zmienne i z tego względu z trudnością ująć się daje jako działacz. Spostrzedz to można w maszynie elektrycznej p. Fromont.

Maszyna ta, poddana działaniu prądu wzbudzonego stosem, mając do pokonania opór stały, obraca się najprzód z prędkością rosnącą. Wkrótce druty elektryczne rozpalają się do czerwoności i niekiedy w miejscach cieńszych topią się, pokazując iskry, a cewki rozgrzane nie mogą się namagnesować i maszyna nagle się zatrzymuje. Pochodzi to z niemożności wyznaczenia masy uzbrojenia, poddanego działaniu prądu elektrycznego, gdyż jego natężenie zmienia się stopniowo a uzbrojenie, odpowiadające prądowi otrzymanemu na początku działania stosu, po chwili będzie zbyt słabe. Jeżeliby masa uzbrojenia była wyznaczoną według natężenia prądów końcowych, naówczas byłaby za słabą dla początkowego działania stosu i prędkość z początku rosłaby tak szybko, że maszyna nie mogłaby wykonać żadnej pracy użytecznej.

Wielu uczonych tę ostatnią niedogodność zamiary prądów elektrycznych na pracę mechaniczną przypisuje zbyt niskiej temperaturze, towarzyszącej wydobywaniu się elektryczności w stosach.

Z powodów wyżej wyszczególnionych, nowoczesny przemysł wytwarzania i zastosowania elektryczności jest jeszcze w kolebce, lecz spodziewać się należy, jej przyszłość nie jest zbyt daleką, gdyż bezustanne tworzenie się elektryczności w naturze jest obfite i skoro tylko ten tajemnik, który dziś zaciemnia dokładne zbadanie jej odmiany od ciepła, odkrytym będzie, wówczas

elektryczność oświadczy, że przemysł a dziś śmiało powiedzieć można, że jak mieliśmy w dziejach ludzkości wieki: krzemienisty, złoty, srebrny, żelazny, cel, tak teraz jesteśmy, bez wątpienia, w peryodzie przejściowym do wieku elektrycznego. (D. n.)

Antoni Sękowski
inżynier cywilny.

SAMOBÓJSTWA WE FRANCYI.

„Słyszymy często, że liczby rządzą światem; to jednak pewna, że liczby wskazują, jak on jest rządzonym.“

Temi słowy wielkiego twórcy *Fausta* rozpoczynamy pogadankę, aby, powoławszy się na nie, usprawiedliwić, bez wszelkich dłuższych wywodów, ważne znaczenie, które nadajemy liczbom.

Pozwolisz bowiem, czytelniku, że wraz z tobą uczynię małą wycieczkę w tę nudną krainę. Przewodnikiem naszym w tym względzie będą na teraz złożone niedawno właśnie prezydentowi rzeczypospolitej francuskiej urzędowe wykazy statystyki kryminalnej we Francyi za rok 1879. (*Le compte général de l'administration de la justice criminelle pendant l'année 1879*).

Z rzędu zawartych w nich danych wyjmuję dziś te tylko, które dotyczą samobójstw, aby za pomocą wymownego języka liczb przedstawić krótko, w jakiej mierze, w jakich okolicznościach i w skutek jakich pobudek ludzie najczęściej targają się obecnie na życie własne we Francyi.

Ogólna suma samobójstw we Francyi w r. 1879 wynosiła 6,496, tak że jedno wypadało przeciętnie na 5,621 mieszkańców.

Jak wszędzie, podobnie i tu, wypadki częstszymi były wśród mężczyzn, niż wśród kobiet, tak dalece, że liczba samobójców w czwórnasób prawie przewyższała liczbę samobójczyń. Pierwszych bowiem było 5,161, drugich tylko 1,335. Różnica ta stanie się większą jeszcze, gdy zwrócimy uwagę, iż ogólna ilość kobiet we Francyi dość znacznie przewyższa ilość mężczyzn. Zestawiając odnośne dane, dochodzimy do wniosku, że wówczas, gdy wśród ludności męskiej 1 samobójstwo przypada w przybliżeniu na 3,504, — z pomiędzy kobiet spełnia je zaledwie jedna na 13,590.

Prócz płci, skłonność do samobójstwa zależy wielce od wieku. W dzieciństwie oraz młodości człowiek rzadko dobrowolnie przecina pasmo swego życia; czyni to zaś częściej stosunkowo wobec nadchodzą-

cej starości, której obawa, łącznie z doznawanymi zawodami, odbiera mu często chęć do dalszego życia. W późnym wieku liczba samobójstw znowu zmniejsza się, wskutek właściwego temu okresowi braku energii i odwagi.

Ogólne te prawa w zupełności potwierdzają się przez dane.

Mianowicie, w liczbie 6,343 samobójstw, których wiek zdolano oznaczyć, było:

	W wieku	mężczyzn	kobiet	razem
do lat	16	38	23	61
od 16 do	21	187	79	266
„ 21 „	40	1,270	365	1,635
„ 40 „	60	1,966	467	2,433
więcej niż	60	1,560	388	1,948.

Oprócz czysto naturalnych warunków, do których należy płeć i wiek, pod względem wpływu na liczbę samobójstw ważną rolę stan rodzinny, miejsce zamieszkania (na wsi lub w mieście) i wreszcie sposób do życia.

Co się tyczy położenia rodzinnego samobójców, to najmniej stosunkowo spotykamy wśród nich osób, związanych błogimi węzłami hymenu, najwięcej zaś owdowiałych. Z pomiędzy 6,301 samobójców, o których zebrano wiadomości co do ich położenia rodzinnego, na żonatych i mężatki przypadało 2,929, na kawalerów i panny — 2241, na wdowców i wdowy zaś 1131. Zestawiając cyfry powyższe z danymi, wykazującymi podział ludności Francyi pod względem położenia rodzinnego, przekonujemy się, że podczas gdy na 100,000 osób, pozostających w związkach małżeńskich, zdarza się tylko 19 samobójstw, — ze 100,000 bezzamężnych lub niezamężnych pozabawia się życia 29, a ze 100,000 owdowiałych — aż 38.

Pod względem pochodzenia i miejsca zamieszkania samobójców, liczba ich ogólna (6,494) rozdziela się w sposób następujący:

3,341 samobójców mieszkało na wsi
3,082 „ „ w mieście
73 — „ „ miejsce zamieszkania niewiadome.

Nie posiadając dokładnych danych co do stosunku ludności miejskiej i wiejskiej we Francyi w roku sprawozdawczym, ograniczamy się tu tylko na ogólnej uwadze, że wobec znacznie większej ilości mieszczan, samobójstwa wśród nich stosunkowo częściej się zdarzają, niż wśród spokojnych wieśniaków.

Ważny nader wpływ na większe lub mniejsze usposobienie do samobójstwa wywiera zawód i sposób zarobkowania. W tym względzie we wspomnianym wykazie znajdujemy następujące ciekawe dane:

najbardziej na dobie i wszyscy niemal rozprawiać poczęli o nowym dramacie nieznanego autora. W tem przez szparę w oknach szklanego dachu rozpostartego nad zimowym ogrodem między rozweselonych biesiadników wpadło kilka płatków śniegu.

— Śnieg!... — zawołało wielu zdziwionych tem, że śnieg padał w zimie.

— Śnieg! — zawołało wielu takich, którzy go się nigdy nie tykając zbliża, nie znali różnicy między ciepłem a chłodem, dla których całe życie było jednym rozkosznym dniem letnim.

— Śnieg!... — zawołały panie i zarzutką poczęły okrywać obnażone ramiona.

— Śnieg!... panno Lolo — odezwał się Marek Aureliusz — to ironia balu!...

Panna Lolo spojrzała na szklane tafle dachu, skąd właśnie spadał jeszcze jeden płatek śniegu. Wszystkie spojrzenia ciekawie zwróciły się ku niemu, a wszystkie światła zalały się w jego drobnych, kryształowych kształtach. Migotał w powietrzu brylantowym blaskiem, tak krótkim, jak jego istnienie, kręcił się, jak gdyby szukał drogi najpewniejszej, padł... i spłynął po białych panny Loli ramionach.

— Ah!... wyrwało się jednozgodnie z kilku ust zdziwionych.

— Brawo!... jaki sprytny ten płatek śniegu!... — odezwał się wujcio Jan.

— Jaki on szczęśliwy!... — szepnął hrabia Zyzio.

— Płatek śniegu za takie królestwo... to jest... królestwo za taki płatek śniegu!... — z emfazą zawołał Marek Aureliusz.

— Panowie!... — rzekł uroczyście, z miejsca powstając, wujcio Jan. Byliśmy tu świadkami wypadku, jaki nie na każdym zdarza się balu... *Cher général!* nie umizgaj się tak bardzo do cudzej żony!... Zastanów się sami, ile tu sprzeczności!... Śnieg, symbol zimna i nędzy... tu, wśród tej uczyty wystawnej; jeden płatek śniegu uraga wszelkiej etykiety świata i osiada na białych ramionach pięknej panny Loli!... Czy taki fakt nie zasługuje na uwiecznienie w obrazie, piśmie, poezji?... Wzywam więc was, wszystkich tu obecnych, arystokratów i kupców, profesorów i literatów, a nawet lekarzy i adwokatów, o zamknięcie tego całego wypadku w jakimś gładkim sonecie. Daję pięć minut czasu do namy-

słu i czekam wierszowanej mówki, pod grozą okrzyknięcia wszystkich was za nieuków!

Siadł i spojrzał na zegarek, a całe towarzystwo przyjęło jego mowę śmiechem serdecznym i oklaskami.

— Panowie! ja nie zartuję! — rzekł serio wujcio.

Przy stole zapanowała cisza.

Fejletonista *Kolka* poruszył się na krześle, wziął do ręki kieliszek, uśmiechnął się, potem przybrał minę poważną i miał w wiązanej mowie rzucić coś spragnionym tłumom, lecz powiódłszy okiem po biesiadnikach:

— Nie warto! — pomyślał, a tylko jednym tchem wychylił kieliszek wina.

— Już upłynęły dwie minuty! — wygłosił pan Jan.

Hrabia Zyzio nalał sobie pełny kieliszek wina, chrząknął mocno, jak gdyby miał rzec coś, lecz spojrzawszy na gości przy stole zgromadzonych, i nie znalazłszy nikogo, któryby mu równy był urodzeniem:

— Nie warto! — szepnął do siebie i zwilżył usta winem.

631 samobójców nie posiadało stałego zajęcia i sposobu zarobkowania
1,311 trudniło się rolnictwem
3,380 „ „ handlem lub przemysł.
344 „ „ służbą domową
830 „ „ zajęciami wyzwolonemi.
W rzedzie 830 samobójców, którzy oddawali się zajęciom wyzwolonym, znajdujemy:

Właściciele nieruchomości lub kapitalistów 539; wojskowych lub marynarzów 149; urzędników 55; nauczycieli 11; księży 4; zakonnik 1.

Chociaż wszystkie okoliczności, powyżej przytoczone, wpływają mniej lub więcej wyraźnie na ilość samobójstw, lecz wpływ ich jest naturalnie nader pośrednim i dalekim, usposabiając tylko w większym lub mniejszym stopniu do targnięcia się na własne życie. Ciekawem przeto jest zapoznanie się z bezpośrednimi pobudkami, skłaniającymi do położenia kresu swojemu istnieniu. Pod tym względem w pomienionych wykazach spotykamy dane następujące:

Choroby umysłowe wywołały samobójstw	1,968
cierpienia fizyczne „	887
zmarwienia rodzinne „	863
pijaństwo „	854
nędza lub obawa jej „	752
rozwiązłość i złe powodzenie „	284
chęć uniknięcia odpowiedzialności sądowej „	241

wreszcie w 207 wypadkach powodem samobójstwa były różne szczególne pobudki, a w 440 wypadkach pobudek tych nie wykryto zupełnie.

Tak więc głównym powodem samobójstw bywają cierpienia umysłowe, tudzież wszystkie te okoliczności, które wywołują chwilowe zбочenia umysłu w mniejszym lub większym stopniu, a do których należą przed innemi cierpienia fizyczne i moralne, oraz pijanstwo. Odniesie tu nawet można takie pobudki, jak nędza, rozwiązłość i obawa karzącej ręki sprawiedliwości, gdyż wszystkie te czynniki, jako połączone z obawą i przerażeniem o groźne jutro, wywierają również mniejszy lub większy nacisk na mózg i wyprowadzają go ze stanu normalnego.

Powieszenie i utopienie należą do sposobów zadania sobie śmierci, najczęściej przez samobójców używanych. Tak na przykład, w roku sprawozdawczym we Francji powiesiło się 2858 osób, utopiło się zaś 1881.

A cóż odpowiecie, czytelnicy, na pytanie: w której porze roku zdarza się najwięcej zamachów na własne życie? Może posądzi-

libyscie o wpływ tak zgubny „ponurą“ jesień?

Najniesłuszniej, gdyż właśnie w jesieni najmniej samobójstw się zdarza, a przeciwnie, wiosna — owa wiosna, która — jak twierdzą powszechnie — „wlewa w piersi balsam otuchy i wiary“ — pod względem liczby samobójstw na honorowe, choć wcale niezaszczytne, zasługuje miejsce. Na drugim planie stoi pod tym względem lato, na trzecim — zima, a jesień dopiero na ostatnim.

Oto cyfry:
W czasie wiosny 1879r. było samobójstw

„ „ lata „ „	1,991
„ „ zimy „ „	1,833
„ „ jesieni „ „	1,474
„ „ „ „	1,198.

Dziwny ten napozór objaw wytłumaczyć można, między innemi, tem, że właśnie w czasie, gdy cała przyroda budzi się do życia i rozkwita, widok jej wobec wewnętrznej rozterki, szarpiącej ducha, wobec strasznego położenia bez wyjścia, wobec rozpacz, ciężającej w sercu kamieniem, rozpacz tę siłą kontrastu wzmacnia i wywołuje zarazem chęć zwolnienia się od więzów życia...

F. N.

HENRYK SCHLIEMANN.

Są ludzie, których działalność obfituje w wyniki tak doniosłe a zabiegi uwieńczane bywają tak przewyższającym najśmielsze rojenia skutkiem, iż współcześni z niedowierzaniem prawie spoglądają na nich, a ci, którzy nie starają się zbadać przyczyny niezwykłego ich powodzenia, uważają ich za „dzieci szczęścia.“ Jeżeli przy tem ich działalność posiada znaczenie ogólnie ludzkie, jeżeli zająć zdoła wszystkich, imiona ich za życia jeszcze pokrywają się jakimś nimbem sławy, a samo ich wspomnienie przywodzi na myślów cel, do którego dążyli wśród przeszkód i trudów.

Do rzędu ludzi podobnych zaliczyć należy niewątpliwie Henryka Schliemanna. Widząc, jak człowiek ten zanięcią przewodnią, wysnutą z pieśni Homera, z niezwykłym szczęściem natrafiał na zagrzebane pod ziemią pomniki dawnej chwały greków i trojan; jak z pod gruzu zburzonych dłońmi czasu budowli wydobywał prawdziwe skarby starożytnego świata; jak wreszcie w pagórkach rosyjskich po dolinie Małej Azji umiał doszukać się szczątków bohaterów, których sława przetrwała całe dziesiątki

wieków — przypominają się nam mimowoli baśnie o czarownikach wszystkowiedzących, przed których wzrokiem nic ukryć się nie mogło.

W latach młodzieńczych, zbudzone niezrozumiałymi dlań jeszcze dźwiękami kilku wierszy z *Iliady*, powstało w duszy biednego podówczas chłopca gorące pragnienie uchylenia zasłony tajemniczej, kryjącej świetną przeszłość dwu narodów starożytnego świata. Pragnienie to uczony, młody, rozporządzający niezwykłymi środkami Schliemann urzeczywistnił. Aby jednak zrozumieć, ile trudów przemieścić, ile przeszkód zwyciężyć musiał, wypada rzucić okiem na przeszłość, zapoznać się z dziejami człowieka, który wśród ciężkiej walki o byt, wśród starań o chleb powszedni ani na chwilę nie spuszczał z oczu zamierzonego celu, który go osiągnąć zdołał wreszcie jedynie dzięki niezwyklej swej wytrwałości i niezmordowanej pracy.

Henryk Schliemann urodził się w dniu 6 stycznia 1822 roku w meklemburskiem miasteczku Nowy Bukow. Dziecięce lata spędził w jednej z okolicznych wiosek. Na łonie przyrody, pod wpływem podań krążących wśród ludu, a w części i książek, czerpanych z niewielkiego zbioru ojca, ubogiego kaznodziei protestanckiego, rozwinęła się wczesnie fantazja ośmioletniego chłopca, czemu sprzyjała również niezwykła z natury wrażliwość. Śmierć matki i różne nieszczęścia rodzinne wpłynęły na zmianę losu Schliemanna; w dziewiątym roku życia wuj, który nim się zaopiekował, oddał go do gimnazjum w Neu-Strelitz. Brak środków materialnych nie pozwolił mu ukończyć nauk; w czternastym też roku życia Schliemann z ławki szkolnej przechodzi do sklepu korzennika z Fürstenbergu. Tu na ciężkiej pracy spędza lat kilka. Pragnienie wiedzy nie pozwoliło mu jednak uwięznąć w odległym zakątku. Pieczo udaje się do Hamburga, stamtąd jako chłopiec okrętowy przybywa do Hollandyi a wreszcie do Amsterdamu, gdzie zdołał otrzymać miejsce w jednym z domów handlowych. Mając być częściowo przynajmniej zabezpieczony, w godzinach wolnych od pracy zajął się nauką języków nowożytnych. Wkrótce też nauczył się sześciu nowszych języków. Dało mu to możność objęcia korzystnej posady korespondenta w jednym z większych domów handlowych. W roku 1846, dzięki znajomości języka rosyjskiego, wysłany został w charakterze agenta do Petersburga, gdzie wkrótce pracować zaczął samodzielnie. Od roku 1852 powodzenie Schliemanna wzrasta ciągle, zyski z prowadzonego przez handlu dosięgają już nader znacznych rozmiarów. Mimo to jednak nie przestaje

— Czwarta minuta upływała... — powtórzył wujcio, oka nie spuszczać z zegarka. Kwituję z sonetu, proszę o czterowiersz.

W towarzystwie panowała cisza. przerywana zaledwie doszłyszczanym szeptem i ukrywanym śmiechem pań.

— Odezwiże się nareszcie! — wyrzekł do swego sąsiada rozgniewany trochę profesor. Bezustannie, jak na obraz, patrzysz się, panie Gustawie, na pannę Lole; powiedz jej lepiej cośkolwiek; wszak lepsza sposobność nie zdarzy ci się tak prędko.

— Ja? — przerwał zawstydzony Gustaw. Cóż ja mogę powiedzieć... ja nie wiem, co mam powiedzieć...

— Ja cię ośmielę! — zawołał profesor, i uderzył nożem w talerz.

— Proszę o głos dla mego sąsiada! — przemówił głośno do całego towarzystwa.

— Słuchamy! — zawołał uradowany wujcio, a oczy wszystkich teraz dopiero zwróciły się na sam koniec stołu, przy którym siedział Gustaw z profesorem.

Mówca, tak niespodzianie przywołany do głosu, wstał z miejsca błądy, drżący i wzruszony. Czuł spoczywające na sobie

spojrzenia wszystkich obecnych tu osób i dojrzał szczególny jakiś uśmiech na ustach panny Loli. Mimo to zawahał się tylko chwilę, jak gdyby zbierał myśli rozproszone, i twarzą do panny Loli zwrócony, w te odezwał się słowa:

Na marmur ramion padł śnieżek biały
I bielszym od nich się mienił;
Ale poznawszy błąd swój zuchwały,
Żałując, w łzę się zamienił!..

— Bravo! poeta! — zawołał wujcio Jan — niechże cię uściskę, mój drogi chłopcze. Wszystkich zawstydziles!..

To mówiąc, żywo pobiegł do Gustawa i ucałował go w oba policzki.

— Ślicznie! — odezwały się, przyklaskujące pańie; a panna Lola na znak zadowolenia z uśmiechem skłoniła głowę; wszyscy zaś z zajęciem rozpytywać się poczęli, kto by był autorem owego czterowiersza. Autora tego nikt jednak nie znał w tej sferze, więc też nikt nikogo objaśnić nie potrafił. Dopiero gdy panna Lola na zapytanie hrabiego Zyzia od niechcenia odrzekła, że to jest nauczyciel domowy jej małego braciśzka, ciekawość obecnych wkrótce została zaspokojoną, lecz już nikt nie mówił o nim i

nikt nie zwracał na niego uwagi. On też nie dbał o nikogo, gdyż uśmiech panny Loli starczył mu za wszystko i za wszystkich i był najwspanialszą dla niego nagrodą.

Niebawem, po skończonej wiececzy, wszyscy zeszli się w sali balowej. Tu podawano sobie z ust do ust zdarzenie o śniegu, spadłym na obnażone ramiona panny Loli i o wygłoszonym na jej cześć czterowierszu. Lecz nikt jakoś nie umiał, czy nie chciał powtórzyć, że jego autorem był miejscowy nauczyciel najmłodszego synka Krezusowego. Zresztą, gdy wyborowa kapela zagrała wiedeńskiego walca, w wirze szalonym tańca zapomnieli wszyscy o tem całym zdarzeniu; niezadługo zaś i ów bal, uznany za najświetniejszy w karnawale stał się tylko miłym wspomnieniem w umyśle uczestników; jeno przez czas dość długi hrabia Zyzio myślał o białych ramionach panny Loli, a panna Lola o herbowej hrabiego Zyzia koronie. (D. n.).

El—em.

on zajmować się nauką języków i niebawem do liczby przyswojonych już sobie dołącza polski i szwedzki.

Całej tej epoki życia słynnego dzisiaj badacza przewodnią ideą było pragnienie doszukania się zabytków po dwu sławnych narodach starożytnego świata, których czynny bohaterские przekazały potomności pieśni Homera. Cel ten jaśniał przed nim w ciągu lat całych, poświęconych ciężkiej pracy, staraniom o chleb powszedni; z myślą o nim zwalczał on największe trudności i przeszkody, aż wreszcie ujrzał się w możliwości urzeczywistnienia rojeń lat młodych.

Pierwszym krokiem do tego była podróż, którą w roku 1858 przedsięwziął przez Europę do Egiptu, Syrii i Małej Azji. Zamiarowi udania się do Aten i Italii przeszkodził proces, wzywający podróżnika do Petersburga, po ukończeniu którego (1863) Schliemann z podwojonym niemal majątkiem, przynoszącym obecnie rocznie przeszło 200,000 marek dochodu, przystąpił wreszcie bez przeszkód do urzeczywistnienia dzieła.

Odbywszy podróż naokoło świata, z której wspomnienia zawarł w dziele *La Chine et le Japon*, Schliemann osiadł (1866 r.) w Paryżu, gdzie przez dwa lata poświęcał się studiom klasycznym, poczem (1868) zaczyna badać grunt w różnych miejscowościach Itaki, Mycen i dolnej Troi. W ostatnim z tych miejsc, między Hellespontem i górą Ida, dwa główne punkty uważano za przypuszczalne siedlisko starożytnej Troi, a mianowicie: wzgórek Bali-Dagh ponad wsią Bunarbaschi i bliżej morza leżące płaskowzgórze Hissarlik. Po zbadaniu dokładnem okolic Bunarbaschi, Schliemann zwrócił się w stronę Hissarliku, gdzie już za czasów historycznych istniał nowy Ilion, i rozpoczął tamże, w roku 1871, wielkie swe poszukiwania.

Mimo znacznych środków, jakimi rozporządzał, gdyż zatrudniał 120—150 robotników, dopiero w 1872 roku, po pokonaniu licznych trudności, udało mu się zagłębić na 53 stopy pod powierzchnię wzgórza i natrafić na mury starożytnej świątyni greckiej. Nie wahając się ani chwili, rozkazał przebić mury i kopać dalej. Niebawem zaczęto dotrzągać ściany innych gruntów. Nie było już wątpliwości, że na tem właśnie miejscu leżała niedysławna Troja. W mniemaniu tem utwierdziło Schliemana odkrycie brukowej drogi obok muru „wielkiej wieży Ilionu.“ Droga ta doprowadziła niebawem do bramy miejskiej, a nieco dalej do największego stosunkowo gmachu przedhistorycznego miasta, o którego znaczeniu przekonały znajduwane wśród gruzów liczne przedmioty ze złota, co doprowadziło Schliemana na myśl, iż gmach ten był „pałacem Priama,“ lub, jak go później nazwał nieco ogólniej, „pałacem ostatniego władcy lub króla Troi.“ Do tego okresu odnosi również odnalezienie „skarbu Priama.“

Wśród gruzów zniszczonego przez pożar pałacu znalaziono wielki przedmiot miedziany, dziwacznych kształtów, który zwrócił na siebie baczność Schliemana. Domyślając się, iż przedmiot ten stanowi nabytek drogocenny, oddalił pod zręczne wymyślonym pozorem wszystkich robotników i następnie, przy pomocy małżonki swej własną ręką, wydobyl z ukrycia mnóstwo naczyń miedzianych, złotych i srebrnych ozdób i różnych pamiątek. Skarby te wraz z skrzynią, w której były złożone, zapadły się w gruzy podczas pożaru pałacu królewskiego, a może umyślnie zamurowane zostały. Dzięki przeczności Schliemana, cenny ten nabytek zachowany został w całości i zabezpieczony przed tłumem chciwych złota robotników.

W roku 1884 Schliemann ujrzał się zmuszonym porzucić na pewien czas wykopalisko trojańskie. Rząd turecki wytoczył Grecyi proces, żądając połowy znalezionych

w gruzach Troi skarbów. Pretensję tę zaspokoił sam Schliemann ofiarowaniem na rzecz muzeum cesarskiego 50,000 franków. Uzyskanie nowego firmanu przedstawiło trudności, które wreszcie, dzięki rozległemu swym stosunkom, Schliemann usunąć zdołał. Dopiero jednak w 1876 roku rozpoczął on wielkie swe poszukiwania w dolinie Aryos, z początku w Tirysie, następnie zaś w Mycenach, gdzie po upływie kilkuniesięcy praca jego pomyślnym została uwieńczona skutkiem. W krótkich odstępach czasu odkrył pięć grobowców, których wartość tak co do starożytności swej, jak i ilości, bogactwa i znaczenia dla sztuki przeszła o wiele najobfitszy łup, zdobyty wśród rozwalin Troi.

Następnie niezmordowany badacz postanowił przedsięwziąć poszukiwania w starożytnych miastach Itaki, ojczyzny Odysseusza. Udało mu się też na spadku góry Aetos odnaleźć ruiny starożytnego miasta, ciągnącego się tarasowo aż do stóp góry.

W jesienią tegoż roku widzimy już Schliemana na gruzach Troi. Tym razem główne poszukiwania rozpoczął w sąsiedztwie wielkiego pałacu, w którym tyle cennych nabytków znalazł był przed pięciu laty. Trzy mniejsze i jeden większy skarb, składające się z przedmiotów złotych i bronzowych, były rezultatem owych poszukiwań; dwie części przypadły w udziale, na mocy zawartego kontraktu, rządowi tureckiemu, zaś jedną trzecią część tylko zatrzymać mógł dla siebie niezmordowany badacz.

Po dłuższej przerwie, w lutym 1879 roku rozpoczął trzeci i ostatni okres badań na gruncie trojańskim. Wsparty wskazówkami Virchowa i Emila Burnoufa, który opracował dlań szczegółowe plany topograficzne owej miejscowości. Zwrócono też baczniejszą uwagę na warstwy ziemi, wśród których znajdowano zabytki starożytne, i wogóle poszukiwania miały bardziej naukowy charakter. Mimo wszakże, iż znaleziono mniej drogocennych przedmiotów, dla nauki badania te mają daleko większe, niż poprzednie, znaczenie. Rezultaty ich pomieścił Schliemann w dziele pod tyt. *Ilios*, znanem już czytelnikom *Prawdy*. Działalność skrzętnego badacza nie uległa jednak tutaj dłuższej przerwie. Odkrył on ciekawe wykopalisko w mieście starożytnej Beocyi, Orchomenos, i odbył ważną dla nauki podróż przez krainę trojan, aż do wierzchoła Idy.

Obecnie zajmuje się Schliemann osobiście uporządkowaniem w berlińskim Muzeum Przemysłu i Sztuki ofiarowanych państwu niemieckiemu przedmiotów, pochodzących z wykopaliska trojańskiego, które poprzednio wystawione były w Muzeum królewskiem w Londynie. Naturalnie, po skończeniu tej pracy zamysła o nowej wyprawie.

J. W.

JERZY BRANDES

SZKIC LITERACKI.

III.

Dwa cele ma przed sobą Brandes, jasno i dobitnie wytknięte, dwa działy, które swoją reformatorską działalnością ogarnia: polityczny i filozoficzny.

W polityce należy on do tych prawych i rozumnych patryotów, którzy mają oczy na wszystko otwarte, a głównie na wady i ułomności swego narodu. Nie umie dopatrywać się nieistniejących cnót w przeszłości, ani schlebiać teraźniejszości, lecz tylko w sprawiedliwej ocenie faktów i działań minionych i współczesnych widzi rękojmię doskonalenia się społeczeństwa. Nic w pojęciu jego tyle nie szkodzi i nie wstrzymuje tak rozwoju, jak przecenianie się, a duńczycy więcej może niż inny na-

ród są skłonni do szowinizmu. Wiedział już o tem niegdyś Oersted, jeden z najlepiej myślących i kraj swój znających ludzi, gdy mówił jeszcze w pierwszej połowie naszego stulecia: „Obudzenie w narodzie przekonania o jego wewnętrznej wartości jest bardzo korzystne; my jednakże musimy się bacznie wystrzegać tej złe rozumianej miłości ojczyzny, która nas i nasze sprawy wynosi nad wszystko, co się na świecie znajduje. Dobro narodu przez to nie wzrasta, że on sobie przypisuje największą sumę urojonych przymiotów i zasług — a im więcej ich zaznacza, tem pewniej są urojone. Blask, którym przeszłość naszą zdobimy, posługuje wysmianiem wyobraźni do tworzenia szumnych frazesów, ale działa osłabiająco i przytępiająco na prawdziwy i żywy duch narodowy.“ Zamkniętą w sobie politykę Danii i ten skandynawizm, oparty na wysokiem o sobie mniemaniu, Brandes pragnie ożywić stałym stosunkiem z Niemcami i innymi narodami ucywilizowanymi, upatrując dobro kraju w stałym doprowadzaniu z zewnątrz ciągle nowych i świeżych prądów, które zmieszane dopiero z miejscowymi i pierwotnymi materiałami przyczynić się mogą do ogólnego duchowego i obyczajowego rozwoju.

Partya narodowych liberalów, dzierżąca w rękach rządu i utrzymująca kraj w umysłnej i tyrańskiej ciemności, posiada w Brandesie zaciętego przeciwnika. Należy on duszą całą do lewicy, mianującej się w Danii partią chłopską i będącej już obecnie na najlepszej drodze do zdobycia sobie większości. Konstytucja duńska, oparta na bardzo szerokich demokratycznych podstawach, przypuściła chłopów do głosowania; dziś stronnictwo to, trzymające się w sejmie radykalnej opozycji, wzrasta w potęgę i staje się bardzo groźne na polu polityki agitatorskiej.

Niemalą jest zasługą Brandesa, że prawie całą inteligentną młodzież w kraju zjednał dla tak zwanej połączonej lewicy, szczycącej się obecnie pozyskaniem grundtvigianów. Może kiedyś partya ta, dziś jeszcze pogrążona w głębokiej ortodoksji, ale politycznie wolnomyślna i oficjalnemu kościółowi wroga, stanie się formą przejściową do nowych idei swobody i prawdy.

Najsilniej i najwybitniej zarysowała się indywidualność Brandesa na polu filozofii i estetyki społecznej. W polityce zastał już gotowe stronnictwo, wybór nie był trudny, tutaj zaś, trzeba było subiektywnym stemplem cechować poglądy na stosunki społeczne, trzeba było szukać, szperać i rozbieierać, temperament silniej się akcentował, kierunek filozoficzny musiał zyskiwać grunt stały, pisarz stawał się artystą, historykiem, psychologiem, demagog—krytykiem.

Że krytycyzm miał w Danii rację bytu i stosowne do rozwoju pole, dowód mamy najlepszy na kilku bardzo poważnych krytycznych talentach, jak np. Oersted, Hauch, dzielny profesor estetyki na uniwersytecie, wreszcie S. Z. Heiberg, którego A. Strödtmann, doskonały znawca życia umysłowego na północy, nazywa duchowym i estetycznym wychowawcą swego narodu w XIX wieku. Pisarze ci zarówno w polemice jak w krytyce trzymali się poważnego naukowego stanowiska i prawideł wyższej estetyki (Heiberg nawet był apostołem Hegla w Kopenhadze); pomimo to jednak nie byli oni jeszcze wolni od przesądów i pewnego formalizmu, nie ośmielali się poruszać zagadnień, dotyczących bytu społeczeństw, a jedyną może i główną ich zasługą jest utworzenie drogi śmielszym i trzeźwiejszym pracownikom. Jerzy Brandes dopiero, stanawszy na gruncie pozytywnym, zbudował krytyce nowy ołtarz, uwolnił ją od konwencyonalizmu i żywym, gorącym słowem szczepił na starym, zbutwiałym już prawie pniu duńskiej litera-

tury płonki świeżych myśli i nowych ideałów.

Początki namiętnej jego działalności przypadają właśnie na chwilę, gdy wrzała w piśmiennictwie walka o stosunek wiary do nauki, prowadzona z jednej strony przez teologów (takich jak Nielsen, Martensen) a z drugiej przez młode zupełnie siły, występujące (jak np. Heegaard i Lavsén) w obronie niezależności naukowych badań i tolerancji religijnej. Brandes rzucił się z zapalem w odmęt polemiki, chwycił za pióro przeciwko dualistycznym zasadom Nielsena, wciągnął za sobą na pole walki nauczyciela swego Bröchnera i założył w duchu młodego pokolenia nowe czasopismo *Wiek XIX*. Ciężką i duszną atmosferę, w której Dania zamierała, trzeba było odświeżyć prądami postępu z zagranicy idącymi; Brandes przyłożył rękę i do tego dzieła, przyswajając ojczyznemu piśmiennictwu ostatnie wyniki poważnej wiedzy. W rozprawie *O współczesnej estetyce francuskiej* zapoznał kraj z pismami i teoryami Henryka Taine, tłumacząc Stuarta Milla *Poddaństwo kobiet* i *Utylitaryzm* wprowadził do błędzającej po manowcach filozofii północnej zasady francusko-angielskiego pozytywizmu.

Wszędzie, gdzie była sposobność do oddania sprawiedliwości rzeczywistej zasłudze, do podniesienia jakiegoś talentu, do określenia stanowiska jakiegś wybitnej w społeczeństwie osobistości, do ujęcia się za zagrożeniami humanitarnymi ideami postępu, widzimy Brandesa czynnym i wymownym obrońcą prawdy, tak jak z innej znowu strony trudno spotkać pisarza, któryby się równie mało hamował w wybuchach namiętnego gniewu, oburzenia i nienawiści dla wszystkiego, co płaskie, fałszywe i wsteczne, co uparcie się trzyma ścieżek utartych i starego porządku, stawiając bezmyślnie czoło prawom postępu. Umysł niespokojny, ale celu swego świadomy, należy on do tych śmiałych i wpływowych myślicieli, którzy potrafią w jednostkach rozbudzać wątpliwości i niepokój wewnętrzne, a wstrząsając masami uszponione wielokomem drzemiącym wywoływać umiętą w ich łonie gorące starcia, walkę żywiołów, całkowite przeobrażenia i przemiany ustaw i pojęć, tradycję i zwyczajem ustalonych. Ludzie takich czynów i celów iść muszą przebojem i nieraz pracą krwawą zdobywać sobie prawo wolnego badania, a potrzeba im tytanicznej nieraz siły i poświęcenia krwi swej najlepszej, aby zburzyć to wszystko, co się już przeżyło, a na gruzach i ruinach stawiać podwaliny nowych systematów i prawd społecznych, czerpiących swą siłę w niewzruszonych prawach natury.

Posłuchajmy, co mówi Brandes: „Społeczeństwo jest zbiorem praw, zwyczajów, zapatrywań i przypuszczeń najróżnorodniejszego pochodzenia; niektóre z nich są naturalne, albo tylko możliwe, inne zupełnie nieprawdopodobne, jedne świeże i nowe, inne przestarzałe, a wszystkie bez wyjątku, już to z powodu ułomnej natury ludzkiej, już z powodu głupoty większości, opierają się na niedostatecznej lub fałszywej znajomości człowieka... Najważniejszą wadę praw społecznych stanowi to, że są ogólne, to jest jednakoże dla wszystkich; każda jednostka, bez względu na swe usposobienie, musi podlegać ich tyrańskiej potędze...

Każdy znajduje zaraz przy urodzeniu gotową religię, w każdym kraju inną, którą mu rodzice, nim jeszcze sam czuć i myśleć umie, narzucają... Następnie znajduje gotową moralność z przychodzącą jej w pomoc opinią publiczną... To też każde najmniejsze usiłowanie do samoistnej myśli w dziedzinie religii i moralności bywa w zarodku tłumione, a jeżeli człowiek go w sobie nie zdławi, biada mu! rzucił rękawicę społeczeństwu...”

Na progu nowej ery, zapowiadającej nam wiek odrodzenia, panowanie nauki i pra-

wdy, witamy z zapalem dzielnych i śmiałych szermierzy myśli, biorących ciężką walkę ze społeczeństwem na swoje barki. Są oni jakby powołani i namaszczeni do tego, aby nieść przed oczyma tłumów pochodnie jarzącego światła, podobni do owych słupów ognistych, wiodących kiedyś w dalekiej przeszłości lud tułaczy po bezdrożach pustyni. Dziś, tak jak w legendzie, celem i dążeniem jest ziemia obiecana, kraj wolności, miłości i pracy, gdzieby ludzkość po długich latach poddaństwa mogła nareszcie w pełni praw swych używać, żadnymi pętami ciemnoty, zwierzających przekonani i mchem porośniętych ustaw niezwiązana.

„Jakby to było prostem — mówi Brandes — gdyby człowiek sam sobie tworzył normę postępowania i wedle możności sam własną myślą prawdy dociekał.“ Podług niego „każdy powinien się starać, by własną myślą stworzyć sobie oryginalne, własne, osobiste o wszystkim pojęcie, bez względu na to, co się obok dzieje, bez względu na urzędowe powagi i patentowanych posiadaczy gotowych już prawd... Można powtarzać za kimś słowo w słowo wyrazy, ale nie można myśleć mózgiem innym, jak nie można się nasycić tem, co inni jedzą...”

Brandes działalnością swoją w literaturze najlepszy nam daje przykład, co człowiek sam zrobić może, gdy go ożywia duch samodzielnej krytyki i wiara, że w wielkim dziele odrodzenia i rozwoju ludzkości praca jednostki stała, z głębokiego przekonania płynąca, nieociągająca się przed żadną ofiarą, musi potęgą swoją wewnętrzną rozsadać najtwardsze opoki i rozbijać najbardziej zakorzenione przesady. Pełne głębokiego znaczenia określenie Kierkegaarda, które znajdujemy w studium jego o tym potężnym myślicielu, najlepiej do niego samego daje się zastosować: „Czoło Kierkegaarda cierpiało bezustannie na pewne dziwne rozdrażnienie i swędzenia, o których inne czoła nawet nie mają wyobrażenia: był to silny popęd do uderzenia głową o ścianę, z tem niezachwianem przekonaniem, że nie czoło na tem ucierpi, ale ściana zniszczeniu ulegnie.“ Czyż te słowa nie są wiernym obrazem jego nieustraszonej energii, jego siły nigdy się niezużywającej, jego optymizmu nareszcie, stanowiącego jedną z wybitnych cech tego potężnego talentu — optymizmu, utrzymującego w nim nieczem niezachwianą ufność, że idea wolności, bądź co bądź, drogę sobie w świecie utoruje, i jak świetna tęcza, nosząca na sobie znamiona harmonii, pokoju i swobody, wśród chmur szarych i mgły jesiennej zwycięsko zabłyśnie.

Nie będzie to przesadą, jeżeli powiemy, że Brandes należy do tej garstki wybranych i szczęśliwych pracowników, którzy, gdy sobie cel jakiś postawią, gdy raz przystąpią do zbudowania czegoś, już nie odejdą, póki nie zwyciężą; każdy czyn ich, każde odezwanie się jest cegiełką, wzmacniającą podwaliny mającego się wznieść gmachu; głos ich nawet nie przechodzi cichym szeptem, ale rozlega się potężnym brzmieniem i śpiących budzi, bezczynnych nawołuje, a niewiernych ufnością i nadzieją przenika.

W roku 1871 głos ten zabrzmiał z katedry uniwersyteckiej w Kopenhadze niesłyszana do tej pory siłą i energią; wykłady, przyjęte naprzód z ciekawością a następnie z ogólnym oburzeniem, ukazały się w książce pod tytułem: *Główne prądy literatury XIX wieku*, wywołując zarówno w publiczności jak w prasie całą burzę zaciekłych oskarżeń, napaści i nienawistnych zarzutów. Obwiniano autora o krańcową wolnomysłność, o nieposzanowanie tradycji krajowej, o ateizm, posądzano go o brak patriotyzmu, a nawet wytykano rozszerzanie pojęć socjalistycznych, wszystko dla tego głównie, że praca jego nie poprzestając jedynie na literackich wywodach i kry-

tyce, poruszała mnóstwo zagadnień religijnych, społecznych i moralnych, że wstrząsała posadami wielu gmachów starego porządku, których omszałe mury gwałtem domagały się odświeżenia; że zwracała uwagę na obce cywilizacje i na wpływ ich radziła więcej baczyć.

Celem i idea przewodnią dzieła jest odmalowanie ruchu literackiego w bieżącym stuleciu, ze szczególnym naciskiem na reakcję, historię jej rozwoju, szybkiego wzrostu i rozkwitu, a następnie na walkę jej ze zwyciężkim duchem wolnomysłnym XVIII-go wieku. Śmiałym i pewnym rzutem kreśli autor plan dziejowego przebiegu literatury, dzieląc ją na sześć odrębnych grup, z których każdą scharakteryzował ze ścisłością i subtelną analizą uczonego i z wytwornym smakiem artysty. Pierwsza grupa przedstawia literaturę francuską, której ojcem jest Rousseau, i gdzie budząca się reakcja jeszcze ulega bardzo prądom rewolucyj; druga — to katolicko-romantyczna szkoła niemieckich poetów, trzecia jest obrazem reakcji tryumfującej i doszłej do zenitu potęgi w dziełach takich pisarzy, jak de Maistre, Lamennais w pierwszej epoce swojej i Lamartine. Byron tworzy czwartą grupę, dając pieśnią swoją i bohaterską śmiercią za ideę wolności nowy kierunek umysłu i piśmiennictwu. Wpływ jego szkoły i ziarno wolnej myśli przez autora *Don Juana* zasiane, wschodzi bujnym kwiatem na niwie francuskiej, gdzie Wiktor Hugo i Musset tworzą szkołę romantyczną i zarazem piątą grupę literacką. Szósta nareszcie jest dalszym ciągiem rozwijających się pojęć liberalnych w Niemczech, których przedstawicielami są Heine, Börne i inni.

Na tem sześciopiętrowym rusztowaniu wznosi się gmach wspaniały o poważnej architekturze i szlachetnym rysunku, barwną i kwiecistą mozaiką świetnego stylu przybrany, a zdobią go albo posągi półbogów poezji i mistrzów nauki z marmuru wykute, w które artysta wlać umiał wszystkie źródła życia duchowego i twórczego natchnienia, albo też bogate kamee, gdzie profile ludzi gieniuszu i poważnej myśli rysują się w szlachetnym i kosztownym materiale w liniach pełnych artyzmu i prawdy.

Nie będziemy szerzej dzieła tego rozbierali; jest ono do tej pory niewykończone i dwie ostatnie grupy czekają na obrobienie; czytelnicy *Prawdy* poznają je najlepiej i oceniają z tłumaczenia ukazującego się w dodatku do niniejszego pisma. Dodać tylko winniśmy, że choć traktuje ono przeważnie o literaturach obcych, myśl jednak przewodnia autora kieruje się zawsze ku Danii, a serdecznie patriotyczne uczucie przejawia się w pragnieniu, aby piśmiennictwo ojczyznie mogło na wzór obcych wejść szybko na drogę racjonalnego rozwoju i prawdziwego rozkwitu. Jedyną radą na to, jedyną pracą, którą dobrze myślące młodsze pokolenie zadać sobie powinno, jest: „wprowadzenie do kraju wszelkimi możliwymi drogami tych prądów, które źródło swoje mają w idei postępu i powstrzymanie reakcji na tych wszystkich punktach, gdzie jej rola i zadanie już historycznie są skończone.“ (D. n.)

Jadwiga Krausharowa.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

Październik.

Ustąpienie p. Moraczewskiego. — Zaloty o wygrzane przez niego miejsce. — P. Niedziałkowski zwycięzca. — Upominek na drogę. — Protest siedmiuset. — Krzyk p. Koźmiana o nowy teatr. — Zbytek wobec nędzy. — O jakim teatrze myśleć należy. — Tramwaje w Krakowie.

Kraków spoczywa obecnie w niemej kon-
templacyi, tak iż klasztorną ciszę jego

przerwały zaledwie wyścigi, urządzone przez naszych bobrów na wieść, że p. Moraczewski opuścił urząd dyrektora budownictwa miejskiego. Blisko trzydzieści świeżo odprasowanych fraków obiegało od rana do nocy wszystkich pp. radnych, przedstawiając sobie wzajem nogi, łamiąc się w palak przed protektorami, a finał tego sportu dość wesóły... Opinia powszechna była za p. Zarebą, człowiekiem bezwarunkowo najzdolniejszym z całej litanii jowialnych poczęści kandydatów, i — podobno — najodpowiedniejszym na tak ważny dla nas urząd; ale ciemne nurty Rady miejskiej wyrzuciły nam całkiem inną rybę — p. Niedziałkowskiego. Zresztą p. N., autor własnego *życiorysu*, którym przy pomocy czapki i papki spętał swawolne stado rajców miejskich, nie jest bez zasług. Bo któż to, jeśli nie on, puszcza corocznie wianki na Wiśle i któż to monarsze „pokazywał“ w Sukiennicach „prawdziwe“ wesele krakowskie?

Również i p. Moraczewski na laurach swoich, których jednak pod utratą życia nie radziłbym nikomu szukać w tutejszych budynkach, szczególnie szkolnych — wyszedł bardzo dobrze. Nie dość bowiem, że za niefortunne trudy swoje pobierał pensyi 3,000 złr., zamiast należnych 2,100 złr., i „przydzielano“ mu sute w wal. austr. roczne *mikołajki*¹⁾; jeszcze teraz, gdy przenosi się do Lwowa na lepszą posadę przy namiestnictwie, komisya tutejsza uporządkowania miasta przesłała wniosek do rady miejskiej o wypłacenie mu trzech tysięcy złr., tytułem gratyfikacji a raczej upominku na drogę! Pojawienie się czegoś podobnego, podczas gdy miasto znajduje się w najokropniejszych kłopotach, o czym szczegółowo pomówimy niżej, jest dowodem wielkiego rozbrykania się komisyi. Rozrzutna ta gospodyni, wypróżniająca lamus miejski dla swych faworytów, powinna pamiętać o tem, że grosz publiczny świętszym jest, niż cudowna woda z Lourdes, której Jezuitom nigdy nie zbraknie. Ale co tu mówić!... Protekcyja u nas — to wszechwładne bóstwo, główny motor naszego życia, to... pytel sypiący do worków zamiast maki — otręby i plew! A wiercie, słowa te nie dyktuje mi maniactwo pesymistyczne, lecz najwyklesza obserwacya faktów i sumienne rozróżnianie ich wartości. Nie sam myślę podobnie, ale każdy, kto jeszcze nie utracił wzroku. Weźcie do ręki np. memoriał krakowskich i lwowskich techników w sprawie odbudowania Wawelu! *Veto* siedmuset ludzi, założone przeciw wszelkiej przywacie, względem i względzikom naszych mandarynów — to już manifestacya zbyt wyraźna, zbyt określająca stosunki nasze, aby można nią podpalić w piecu!...

— Gwałtu! krzyknął p. Koźmian przez tubę swojego *Czasu*. Teatr krakowski, który tak świetnie prowadzę, mieści się w budynku starym i odrapanym! O hańbo! tu, na wolnym gruncie, tu, w polskich Atenach, teatr mój, który powinien być posłannikiem sztuki na kraj cały i... lepiej mi procentować, znajduje się w takim opuszczeniu! Bierście więc guldenów, skąd chcecie, ale postawcie mi nowy gmach; a ja powiadam wam, że jako Zyblikiewicz za Sukiennice został marszałkiem, tak Weigel za teatr zostanie nawet — hrabią!

Jakoż p. Weigel, który od jakiegoś czasu trzęsie się febrycznie ku stańczykom, zawniósł w Radzie miejskiej, że nowy teatr w Krakowie jest konieczny, i mimo silnej opozycji, zrobił co chciał, oświadczył w końcu, że jeśli projekt jego nie uzyska sankcyi, to on starą świątynię Melpomeny, grożącą zawaleniem się, każe zamknąć. Skoro jednak życzeniu p. prezyden-

ta stało się zadość, zezwolił łaskawie na zgruchotanie żeber naszych!

Choćby p. burmistrz wziął do serca owe myśli o posłannictwie narodowem, powinien był pamiętać o tem, że nie zależy ono od nowych murów, lecz od repertuaru i gry artystów. Dopóki biblioteka muzy krakowskiej składać się będzie z bezwartościowych rupieci, a artyści z takich histryonów, iż — z bardzo małym wyjątkiem — nawet król Jeje z Borneo z przyjemnością kazałby ich wszystkich... rozpedzić, o żadnem kapłaństwie nie może być mowy.

Zresztą budowa nowego alkierza dla Melpomeny krakowskiej, którego kosztorys 400,000 złr. — oby tylko nie zajechał na dwa razy tyle, jak to miało miejsce przy wiekopomnej restauracyi Sukiennic — dziś, przy obecnym stanie finansów naszych, jest wybrykiem nie do darowania, jest dolewaniem oliwy do ognia. Na nowy gmach złożyć się mają rząd, sejm i miasto — ono naturalnie zaciągając pożyczkę, jakkolwiek stan kasy miejskiej jest już i tak zachwycający! Prócz bowiem 50,000 złr. deficytu, mamy na karku półtora milionową pożyczkę, zaciągniętą niegdyś na wodociągi, a strwonioną już dawno na Sukiennice i t. p., od której opłacamy rocznie 65,000 złr.; obecnie zaś przybywają nam jeszcze trzy: na wodociągi, na urządzenie zakładu gazowego na teatr; od czego znów przyjdzie opłacać rocznie bajonkie sumy, podczas gdy rząd podniósłszy nam dzierżawę akcyzy z 200,000 złr. na 210,000 złr. zmniejszył dochody roczne o 10,000 złr.!

Tak więc, jak na dziś, nowy gmach teatru winien poczekać w tece projektów. Pan prezydent zamiast bawić się w Zyblikiewicza, niech oczyści kasę miejską z długów; pomnąc zaś na tutejszą nędzę, niech wznieście upadłe rękodzieła, handel i przemysł; wreszcie, dbając o sanitarny stan miasta, niech przede wszystkim odrąci nam od ust błoto, które dotąd ku niezmiernej radości grabarzy pijemy zamiast wody, tak iż Kraków pod względem śmiertelności jest jedną z europejskich stolic.

Bardzo rozumnie i wcale bezprzesadnie odezwał się w tej sprawie tutejszy *Dyabeł*. Słowa jego zamiast pocierza powinien p. Weigel odmawiać kilka razy na dzień. „Nam nie wolno — woła wspomniane pismo — budować teatrów wobec straszliwej nędzy, wobec okrutnych potrzeb, których obraz zgrozą przejmując. Ludzie porządni a ubodzy, niemający czem opłacić mieszkania, ani rodzin wyżywić, zubożeli rzemieślnicy potrzebujący zapomogi, nędzarze, w rozpaczny wódką zastępujący chleb powszedni, półnagie dzieci wśród zimy żebrzące po ulicach — oto teatr w rzeczywistości, którego potrzebom powinniśmy przychodzić w pomoc.“

Ilekroć myślę o konserwatystach, przychodzi mi na myśl król Kalakuy i jego państewko, którego wcale zajmujący obrazek podały niedawno pisma zagraniczne. Rzecz się tak miała: Podczas ostatniej nieobecności dostojnego monarchy, ministerium Hawaj złożone z ludzi liberalnych, wniosło do parlamentu projekt, aby armii wielkiego państwa sprawić... koszule i spodnie, których dotąd nie używa. Wniosek ten wywołał najwyższe oburzenie wśród zachowawców. Między innymi jeden z nich powstał i ozwał się w te słowa:

— Niepodobna przewidzieć następstw, jakie pociągnąć może za sobą danie armii pantalonów; doświadczenie wieków uczy nas, że nigdy naród nie wychodzi dobrze na zmianie tradycyi. Ojcowie nasi nie nosili ani koszul, ani spodni, a jednak byli żołnierzami!

Coś podobnego działo się i u nas, jakkolwiek Kraków leży w Europie i graniczy z Krowdzą. Mianowicie przez pustynię naszą pewni poczciwi ludzie postanowili

przeprowadzić tramwaje, jako nader dogodną komunikację między tak oddalonymi punktami, jak Podgórz a dworzec kolejowy. I wszystko szło jak z płatka... W tem ze stańczykowskiej nory ozwał się straszliwy ryk... *Czas* krzyknął, że poprzeryzują one paskudnymi szynami poważne, zdziwione i obrażone (!) ulice grodu Piastów i Jagiellonów!

No, jeśli taki *Kaliszanin*, któremu przyświeca gwiazda p. Ludwika Niemojewskiego; jeśli taki *Kaliszanin* — powtarzam — posiadający nadto specjalnego korespondenta z Ozorkowa — nie padł trupem na wieść o tramwajach w obszarze swego apostołstwa; cóż w takim razie myśleć o nas i o *Czasie*?

Prawdźcie.

LIBERUM VETO.

Chyba pomyłka co do kościoła, w którym dzwonią. — Egzamina państwowe. — Co jest, czego nie ma i co prawdopodobnie będzie. — Projekt ustawy leśnej. — Projekt zmniejszenia świat. — Brak dni do pracy. — Kasa imienia Mianowskiego. — Dziś i dawniej w Tow. Muzycznem. — Niepłatne kupony akcyj warszawskiej Polihymni. — P. Noskowski z wędka. — Nawa teatralna wśród burzy. — Hektor i Achilles. — Odkrycia naszych pism w dziedzinie geografii krajowej. — *Tramwaj* ubył, *fluid* przybył.

Przetrzyjmy oczy dla przekonania się, że nas wzrok nie myli, i czytamy:

„Dzienniki moskiewskie podają ważną wiadomość, iż w Rosyi wprowadzone być mają egzamina państwowe na wzór tych, jakie w Austrii i Prusach składać muszą wszyscy wstępujący do służby rządowej. Wspomniane dzienniki utrzymują nawet, że sprawa ta w zasadzie już jest rozstrzygniętą. Co się zaś tyczy sposobu składania owych egzaminów, mają one być dwójakie: ogólne i specjalne — pierwsze składane będą przy opuszczeniu uniwersytetu po ukończeniu kursów, specjalne zaś przy obejmowaniu niektórych posad i urzędów. Przy ogólnym egzaminie, mającym się zdawać jednocześnie z ukończeniem kursu uniwersyteckiego, asystować mają delegowani ze strony rządu.“

Gdy przeczytał tę wiadomość w pismach naszych, zdawało mi się, że ktoś nagle doniósł, iż powstał projekt dodania wszystkim bryłom trzeciego wymiaru. Dotychczas bowiem sądziłem, że w Rosyi nie istnieją w wyższych zakładach inne egzamina prócz państwowych, aż tu nagle prasa zapowiada, że wymiar ten ma być im dopiero dodany. Czy przypadkiem dziennikarze, nasłuchujący odgłosu obrad szkolnych, nie pomylili się co do kościoła, w którym zadzwoniono? Jak wiadomo w Niemczech i Austrii istnieją dwa rodzaje uniwersyteckich egzaminów: jedne dla otrzymania stopni naukowych, pozostawiające kandydatom zupełną swobodę wyboru przedmiotów oraz profesorów, i państwowe dla otrzymania praw służby publicznej, przepisujące ściśle, co kandydat ma umieć i przed kim dowody swego ukształcenia złożyć. Systemat rosyjski wcale nie zna pierwszych. Każdy też, kto skończył wydział medyczny, może być lekarzem, kto skończył prawny — sędzią, filologiczny lub matematyczny — nauczycielem. Niewolno nikomu (jak w Niemczech) ze świadectwem gimnazjalnem i rozprawą stanąć do egzaminu doktorskiego, lecz musi przejść uniwersytet, zdobyć stopień kandydata, a następnie magistra. Powyższą więc zagadkę rozwiązują jedynie dwie możliwości: albo ministerium oświaty zamierza wprowadzić nie egzamina państwowe, bo te istnieją, ale naukowe, których niema; albo też pragnie służbę publiczną uczynić zależną od egzaminów państwowych. Po-

¹⁾ Wyraz miejscowy, oznaczający podarunki rozdawane tutaj w dzień św. Mikołaja.

mijając administrację, która, jak wiadomo, nie potrzebuje posiadać żadnych kwalifikacji naukowych, są bardzo liczni sędziowie, nauczyciele, przewodnicy zakładów specjalnych, którzy nawet nie widzieli uniwersytetu. Przypuszczamy więc, że do pełnienia tych obowiązków upoważniają będą egzamina państwowe — co byłoby reformą wielce pożądaną. W każdym zaś razie doniesienie, że przy egzaminach uniwersyteckich mają być obecni „delegowani ze strony rządu“ jest śmiesznem, bo z czyjeje strony delegowanymi są profesorowie przez ministra mianowani?

Nie próbuję dalej oświecać tego ciemnego kąta gazet rosyjskich, w którym wylęła się owa wiadomość, bo wszystkim wiadomo, do jakich pomysłów zdolny jest dziennikarski Ugolino, gdy mu brak nowin głodem dokuży. Wolę natomiast podzielić się czytelnikami innym doniesieniem, które wiarygodnością się nie brzydzi. Przed kilku laty na zjeździe leśnym w Warszawie urodził się projekt ustawy, zabezpieczającej troskliwie dotąd niszczone lasy w Królestwie Polskiem. Projekt ten przesłany został Towarzystwu Leśnemu w Petersburgu, które właśnie powierzyło go na ostatniej sesji (22 b. m.) rozpatrzeniu dwu członków. Naturalnie, jest to ciągle *vana ira sine viribus* i niejedna jeszcze sosna padnie pod siekierą grabieży lub marnotrawstwa, zanim nad lasami naszymi roztoczy się skrzydło skutecznej opieki. Ale my tak przyzwyczailiśmy się poprzestawać na małym, że i to drobne posunięcie sprawy nas cieszy. Przynajmniej znowu będziemy wchodzić na wysokie drzewa i wyglądać, czy z Petersburga pomoc dla ginących lasów nie nadchodzi. A na ten użytek wysokich drzew jeszcze nam wystarczą.

Letnie rozleniwienie już prasę opuściło, jesienne chłody pobudzają do literackiej płodności, mamy więc do zanotowania jeszcze projekt nr. 3. Mianowicie *Poriadok* petersburski radzi biegłym, obradującym nad zmniejszeniem pijaństwa, ażeby zmniejszyli ilość świąt, jak wiadomo sprzyjających temu nałogowi. Nie jestem biegły w teologii Cesarstwa, nie wiem przeto, czy ona dozwala zgromadzeniu cywilnemu oznaczać liczbę świąt; myśl sama wszakże bardzo mi się podoba i żałuję mocno, że ona nie może być na tej drodze unasurczywistniona. Bo naprzód słusnie dowodzi *Poriadok*. „Prawie połowa dni w roku jest świątecznych; w skutek tego potrzeba dla wykonania pewnej rocznej roboty dwa razy tyle robotników co w Niemczech, a nawet w katolickiej Francji. Prócz tego, jak już wyżej wspomniano, dni świąteczne są spędzane w szynkach i szynkownym zwać się mogą. Zmniejszenie liczby dni świątecznych powiększyłoby zarobek roczny pracowników, a więc i polepszyło ich dobrobyt. Rozumiemy dobrze, że kwestya ta związana jest z finansami duchowieństwa, ale przecież i zmniejszenie ilości szynków zmniejszy dochód skarbu, a mimo to rząd nie waha się zastosować tego środka dla usunięcia demoralizującego ich wpływu.“ Uwagi te dają się w zupełności zastosować do naszych potrzeb. Kiedyś zadałem sobie trud policzenia ogólnych i szczególnych świąt, w Warszawie obchodzonych; rezultat przekonał mnie, że niema ani jednego dnia w roku wolnego od jakiegś uroczystości a na niektóre przypada kilka. Jeżeli więc prawowierny katolik warszawski chce zadość uczynić wszystkim obowiązkom pobożności, nie znajdzie ani jednego dnia na pracę. Jeżeli przy tem dodam, że, zwłaszcza na wsi, nie spotkałem nigdy włóciannina lub włóciarki pijanych w dni nieświąteczne iniejarmarczne, to zyskam zgodę czytelnika, że i u nas ograniczenie liczby świąt przydałoby się — ze względów ekonomicznych.

Od miliona projektów w roku zeszłym wnoszonych wypadł nam jeden urzeczywi-

stniony. Dobry i taki procent, jeśli on daje społeczeństwu tak pożyteczną instytucję, jak kasa imienia Mianowskiego, która — jak wspominałem już dawniej — ustanowiła swój zarząd i dostała od członków założycieli posag a teraz zaleca się do miłośniernych obywateli kraju, ażeby pamiętali o jej potrzebach. Szkatułkę jej zasilać mogą w trojakiej roli: a) jako członkowie założyciele honorowi (100 rs. jednorazowo); b) jako rzeczywiści (5 rs. rocznie) i c) jako wspańiałomyślni ofiarodawcy. Kasa ma na celu: udzielanie zapomóg pieniężnych jednorazowych lub peryodycznych oraz pożyczek osobom pracującym na polu naukowem lub już poprzednio znanym w tej dziedzinie z prac swoich. O pomoc do kasy zwracać się należy pod adresem jej prezesa, czcigodnego d-ra T. Chałubińskiego (Mokotowska 8), lub sekretarza K. Dobrskiego (Marszałkowska 50). Wkłady przyjmuje tymczasowo biuro wice-prezesa, S. Kronenberga. Donosząc społeczeństwu o dojrzaniu tej jego pięknej córeczki, winienem zaznaczyć w jej metryce, że urodzili ją wychowawcy b. Szkoły Głównej, ale uczciwie i troskliwie wychowali pp. dr. Stanisław Kronenberg i dr. Jakób Natanson. Należy im się też za nią szczerą wdzięczność.

Wychowaniem, a raczej odżywieniem innej zgłodzonej instytucji, zajął się jej dyrektor p. Z. Noskowski. Jak wiadomo, niedaleko po za nami są czasy, kiedy członkiem Tow. Muzycznego musiał być każdy przyzwoity warszawianin, kiedy nieposiadających tego zaszczytnego tytułu nie wpuszczano do salonów i nie witano na ulicy. Nawet kandydaci do posad na kolejach, dla opatrzenia swych próśb dobrą rekomendacją, zapisywali się do Tow. Muzycznego. Od tej błogiej chwili zebrało się wprawdzie na tym liście zastawnym Polihymnii kuponów około 800, ale płatnych zaledwie 400. Obojętność doszła do tego, że nawet niezwyceńzeni burzyciele gabinetów Towarzystwa, którzy jego dzieje okrwawili trupami tylu dyrektorów, przestali przychodzić na ogólne zebrania. Ledwo kilkudziesięciu wiernych stawiło się do apelu, a między nimi ani jeden, któryby bodaj pozornie chciał obalić obecne ministerium. Dzięki brakowi opozycji, p. Noskowski zaofiarował Towarzystwu bezpłatnie swoją orkiestrę a jego członkom bilety wolnego wejścia na koncerty w Dolinie Szwajcarskiej, zastrzegłszy sobie wynagrodzenie za orkiestrę, gdyby liczba uczestników (naturalnie płatnych) wzrosła do 1,200. Czy od tej wędki nie odciaśnie ryb jakaś nowa modniejsza przynęta, — towarzystwo łyżwiarskie, lub łożdżowe, czy członkowie Tow. Muzycznego, zamiast słuchać koncertów, nie zaczną namiętnie ślizgać się lub pływać — jako słaby jasnowidz w przemianach mody wywróżyć nie mogę.

Nie umiem również powiedzieć, co się stanie ze świątynią drugiej muzy — Melpomeny. Zbyt wiele augurów stara się u niej ourząd Kalchasa, ażeby prawda zdolała przebić się przez ich plotki. Według jednych dotychczasowa zapomoga ma być teatrom powrócona, według drugich przepolowiona z jednorazowem wynagrodzeniem za przerwę w widowiskach podczas żałoby, według innych monopol teatralny zostanie zniesiony, a urzędowa Melpomena pójdzie na licytację. Tymczasem, jak głosi czujny kontroler z *Gazety Warszawskiej*, do pustej kasy teatralnej dyrektora przystawia coraz nowe pijawki aktorskie, które wysysają z niej ostatnie krople krwi, skapo przyplływającej z pustych przedstawień. Na wylomie zdobywanej przez tego rycerza twierdzy stoi nieustraszony *Wiek*, który oskarżając swego przeciwnika o nieuczciwość i złą wiarę — według jego wyrażenia — „ochrypl, zasapał się, zapłuł po pas.“ Zanim losy Troi się rozstrzygną, warto, ażeby Hektor z Achillesem odpoczęli i otarli się... ze śladów walki.

Bądźmy im jednak wdzięczni za to, że swym pojedyńkiem rozrywają jednostajną ciszę naszego życia. Gazety tak puste, że wyręczając *Słownik geograficzny*, donoszą, iż w powiecie Janowskim istnieją osady: Urzędów i Modliborzyce z pewną ilością mieszkańców, jak gdyby to były pieczarki, które wczoraj dopiero wyrósły. Niedawno cała niemal prasa dzienna obwieściła światu radosną nowinę, że nad Wieprzem istnieją Bobrowniki, a przez pewien czas najpoważniej rozprawiano o najkrótszem połączeniu dwu kolei, które jakieś skromny simplex prowincjonalny, na podstawie elementarnej geografii Król. Polskiego, wyrachował jako najdłuższe. Z tego wynika, że znajomością geografii krajowej moglibyśmy zaćmić nawet... jenerałów francuskich.

Nakoniec kilka słów skruchy.

Gdy p. K. Prószyński wezwał wszystkich do oczyszczenia mowy polskiej i zaproponował zamiast wyrazu *tramwaj* używać *kolejowicz*, zwątpiłem o powodzeniu tak szczęśliwie rozpoczętego przedsięwzięcia. Tymczasem zadziwiające postępy w tym kierunku ukarały mnie za niewiarę. W jednym z ostatnich numerów pisma, poświęconego do oczyszczenia naszej mowy z obcego błota, pod doniesieniem o *kolejowcach* czytam: „... wylał tak zwany rosół. *Fluid* (zam. cudzoziemskiego *płyn*) wleciał do kapelusza i oblał mu okrycie.“ Przepraszam szan. oczyszczaczy: czy panowie kpicie z języka, czy o drogę dlań pytacie?

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Prawie bajka: pasterz potrzebujący murowanej plebanii i owieczki niechające dać na nią pieniędzy. — Posilkł z powiatu. — Dzielność dozoru kościelnego. — Ofiary żydowskie w Augustowie i przeznaczenie komitetu. — Pożary i delegaci towarzystw asekuracyjnych. — Sanitarny raport burmistrza w Baranowie. — Plagi i ich potomstwo. — Litania kryminalna. — Wystawa w Retowie i jarmark w Płocku. — O co chodzi *Biesiadzie Literackiej*. — Dogorywający wiarus.

Piękny przykład ojcowskiej troskliwości plebana o dobro swych praflan opowiedziało nam najmniej chyba skłonne do krytyki tego rodzaju stosunków *Echo*. W plockim (wsi *par bonté* nie wymieniono) biedne owieczki wystawiły swemu pasterzowi plebanię. Budynek był niezbyt kowny, ale dla pomieszczenia sługi bożego, który ślubował ubóstwo, dostateczny. Nieszczęsną jednak koleją losu miejsce skromnego proboszcza, który był zupełnie zadowolony ze swej siedziby, zajął inny, potrzebujący więcej niż czterech pokojów. Ponieważ nawet władca parafialny ma swoją Grecję, która za niego płacić może, więc nowy pasterz zażądał nowego, wygodniejszego pomieszczenia. Członkowie dozoru kościelnego zastanili się brakiem funduszu a nadto dowodem, że plebanie zbudowano według wskazówek poprzednika. Na tej instancji przecięłyby się pretensje, gdyby ks. proboszcz nie zapelował do władzy powiatowej i nie zyskał przychylniej opinii budowniczego. Połączono tedy wójtowi gminy, ażeby „członkowie dozoru kościelnego, którzy plebanie z funduszu składkowych zbudowali, *wzięli ją sobie na własność*“, wydane zaś na nią 600 rs. złożyli w gotowiźnie. Zwołani przez wójta parafianie dali odpowiedź godną dośłownego powtórzenia. Odrzekli, że jakkolwiek szanują duchowieństwo i radziby swemu proboszczowi nawet pałac wystawić, dozór nie posiada odpowiednich środków; odwołanie się zaś do ofiarności uważają za tem mniej stosowne, że opuszczony kościół wymaga naprawy i że „sama przyzwoitość sprzeciwia się temu, ażeby sługa boży mieszkał w plebanii murowanej, pod-

czas gdy sam Pan jego odbiera cześć w drewnianym kościółku. Uwagę p. budowniczego, że plebania drewniana łatwo uleść może pożarowi, zgromadzenie odparło do wodom, że teatr praski, chociaż murowany, jednakże spłonął. Skutkiem jednak silnego nacisku, postanowiono: do 600 rs. które członkowie dozoru kościelnego zwróca, dołożyć ze składek jeszcze 600 rs. i zbudować nową plebanię, ale drewnianą. Tak więc tradycya panujących proboszczów płockich jeszcze raz się rozlitła...

Policzmy: 1,200 rs. a nadto bezpłatna praca parafian przy nowej plebanii dla dogodzenia zbytowi gardzącego dobrami do czasami sługi bożego — za dużo; ale dla wykazania samodzielności rozumu dzielnych parafian — niewiele. Czemuż tych ludzi nie mogę uściśkać i powiedzieć: zuchy jesteście, bo nie pozwalacie wodzić się za nos i czujecie swoje prawa. Dziś ustąpiliście, ale za lat dziesięć nie ustąpicie i wydzierany wam grosz na zbytki, zachowanie na poważne potrzeby gminy. O, ileż razy ci członkowie dozoru kościelnego są mędrci od... *Echa*, które w całej tej sprawie widzi tylko kwestyę: czy składki na plebanię winny być pobierane „od dymu, czy od morga?” O to, czy wogóle winny być pobierane — mniejsza.

O ile nam trudno odczuć z proboszczem płockim potrzebę wzniesienia kosztem biedaków murowanej plebanii, o tyle podpisujemy wymowę ks. A. B. w *Wieku*, zrobioną izraelitom. Po trzykrotnem (tylko!) spaleniu się Augustowa, najszczodrzej spłynęły ofiary od żydów z rozmaitych stron kraju, ale wyłącznie dla żydów. Wyznanie adresu składek ubezpieczono pominięciem komitetu i powierzono rozdzielich wyłącznie rabinowi, który naturalnie o równouprawnieniu religii wobec biedy nie pomyślał. Dopełnił się więc paskudny akt rozbratu w niedoli, tem paskudniejszy, że chrześcijanie otrzymawszy razem 260 rs. 10 kop. nie wydobyli dotąd tej sumki z niewoli powiatowej. Trzymająca je kasa przewiduje zapewne czwartą pożar Augustowa w tym roku i zachowuje pieniądze na jeszcze czarniejszą godzinę. Że przypuszczenie to nie jest pozbawione podstawy, dowodem Luboml (na Wołyniu), który 4 b. m. spłonął po raz czwarty. Zaledwie potrzebuje dodawać, że w ubiegłym tygodniu było nam również od kilku gorejących miast i wsi bardzo jasno. Przebieając w pomysłach bezpieczeństwa, *Gazeta Polska* radzi towarzystwom asekuracyjnym, ażeby ich delegaci dopilnowywali w miastach narzędzi ratunkowych i powierzonych na ten cel p. burmistrzom funduszów. I na to byśmy się zgodzili, aby tylko raz zgłaszała ta nieszczęsna illuminacja pożarowa. Nie sprzeciwilibyśmy się nawet rozszerzeniu władzy owych delegatów i opatrzeniu ich prawem kontroli sanitarnej. Panujące bowiem obecnie choroby zaraźliwe nie spotkają w organach administracyjnych zbyt wielkiej przeszkody, jeśli panowie burmistrze składać będą takie raporty, jak przytoczony w *Echu*:

„Stosownie do polecenia W. Naczelnika z dnia 1 (13) czerwca r. b. nr. 2579 mam honor złożyć terminalny raport o grasującej w mieście Baranowie cholery i środkach przeciwko niej przedsięwziętych — a mianowicie:

Ad primum. Stosownie do informacji W. lekarza pawiatu, chorym zadaje się mięta.

Ad secundum. Zachorowało osób 30. Umarło osób 30.

Ad tertium. Najskuteczniejszą prezerwatywą okazała się mięta.

Co wyraziwszy, zostaje z uszanowaniem

Jan Hapkiwicz

p. o. Prezydenta Msta Baranowa.“

Prawda, że tak skutecznie wypróbowało przed 10 laty miętę... w Baranowie, ale kto zaręczy, że środek ten nie zachował dotąd swej sławy w terapii pp. burmistrzów?

Ogień niszczy domy i zbiory, choroby — zdrowie, dla dopełnienia trójcy plag nisz-

czy zasiewy robak. Jak donosi *Gaz. Kielecka*, we wsi Seiborzycy pojawiły się liszki, które zgładziły znaczną przestrzeń świeżo zasianego pszenicy. Zaczęły również gospodarować w okolicach Miechowa, we wsiach Rzerzuśnia, Czaple Wielkie, Wysocice i innych. Cała ta trójca pozostawi po sobie bliźnięta: złodzieja i rozbójnika. To też już dziś coraz częściej dobiegają nasęcha spełnionych kradzieży i mordów. Nie licząc świeżo w Częstochowie zakończonej sprawy ledwie dojrzałych zabójców ks. Nieza, schwytano w Radziniu młodego również herszta bandy opryszków Łuszczewskiego, który osądził się sam rewolwerem w ostatniej instancji; nadto dzierzawca Krośnice (pow. Kutnowski) padł pod łopatą parobka, mszczącego się za odprawioną żonę, w Janowie zaś (nad Wisłą) młynarz z synem zastrzelili niejakiego M. Lebrycha, którego ciało psy ogryzły. Są to tylko dorywczo zanotowane wypadki, litania bowiem przestępstw kryminalnych wyciągnęła się bardzo długim szeregiem.

Odwróćmy oczy od tego przykrego widoku.

W Retowie odbyła się czwarta wystawa rolniczo-przemysłowa. Od r. 1875, kiedy po raz pierwszy urzeczywistniono myśl tego rodzaju popisów, rozwinęła się ona bardzo szczęśliwie. Najgłówniejszą jej stroną jest ciągle wzrastający udział włościan (żmujdzkich), którzy w tegorocznej wystawie przedstawili nietylko konie, tkaniny, ale nawet wyroby artystyczne. Usiłowano też pracą kmiotka pobudzić licznymi nagrodami. Odległem naśladownictwem tej wystawy był jarmark w Płocku, który miał również cechy popisu i na którym także rozdzielono medale. Zachwycony tem powodzeniem *Korespondent Płocki* radzi ziemianom snuć dalej niepodobnych przedsięwzięć. „Rada taka — mówi *Biesiada* — nam jakoś nieogledną się wydaje. Oczywiście „wystawy prowincjonalne“ — na ten tytuł każdy rozumny obywatel chętnie się zgodzi — mogą i powinny rozdawać nagrody wystawcom włościanom, którzy na wystawy warszawskie nigdy nie podążą, ale ziemianom-szlacheć, że tak nazwiemy stan zamożniejszy, mogą być przyznawane co najwięcej podziękowania od komitetu wystawowego, medale zaś honorowe powinny pozostać przywilejem wystaw tylko warszawskich. Bo pytanie, czy samodzielność nie zadowolni się prowincjonalnym tryumfem do tego stopnia, że obojętną jej już będzie wyrocznia w stolicy? czy takie honorowanie nie wyrodzi prowincjonalizmu, odrębności najszkodliwszej dla nas? — czy Lublin, Płock i t. d. nie przywłaszczą sobie przywilejów, jakie tylko Warszawie przysługują? Uwagi te zwracamy do kolegów z *Korespondenta* z tą dobrą wiarą, że zrozumieją o co nam chodzi.“ Tak przyzwyczajaliśmy się do obywatelskich i uczciwych dążeń *Biesiady*, że pragnęliśmy szczerze zrozumieć, o co jej chodzi — ale nadaremnie. Dla czego obojętność prowincyi na „wyrocznię stolicy“ ma być szkodliwą? Jakie to „przywileje“ we względzie wystaw mają „przysługiwać Warszawie?“ Co znaczy ta chęć centralizowania życia społecznego — nie pojmujemy. Owszem, według nas, zyskałoby ono bardzo wiele na rozstrzeleniu swych ognisk...

A teraz spojrzcie ze mną czytelnicy daleko, bardzo daleko. Jak donoszą gazety rosyjskie, a za niemi nasze, w Omsku zamiera z głodu stułetni blisko starzec Jan, Adam Skarbek Malczewski, jeden z ostatnich ofiar napoleońskiego wichru, który tyłu naszych rodaków porwał i po świecie rozrzucił. Malczewski towarzyszył Napoleonowi aż do Waterloo. Powróciwszy w r. 1818, wszedł do wojska polskiego, a następnie w r. 1831 wysłany został na Syberję. Tu osadzono go wsi Indyjskoje (gub. tobołskiej), gdzie przez lat 20 w lecie pasał bydło, a w zimie wyrabiał zapalki. Od r. 1850 osiadł w Omsku; tu utrzymywał się

z lekcji, które mu starość odebrała, a gdy rząd francuski odmówił mu pensji za order legii honorowej, wpadł w nędzę, z której resztki tego skołatanego życia miłosierdzie ratować może pod adresem przewodniczącej komitetu dobroczynnego lub oberpoliomejstra w Omsku.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 października.

Położenie polityczne Europy zaczyna być istotnie ciekawem. Niemcy, trzymając jedną ręką Austryę, podały drugą Rosji; teraz Austrya podaje zbywającą rękę Włochom; jeżeli zaś prawdą jest, że Francya jedną podała Niemcom a drugą Anglii — wszystkie wielkie mocarstwa w Europie tworzą jeden braterski łańcuch, mający kogoś opasać i skępować. Zachodzi tylko pytanie: kogo? Gdy wszystkie się powiążą, zbraknie nieprzyjaciół. A może o to idzie, ażeby ich nie było? W każdym razie charakterystycznym jest to ciągle zawiązywanie przymierzy wobec corocznych zapewnień przy otwieraniu parlamentów, że „stosunki z zagranicą są jak najlepsze.“ Ale pomijając formalną stronę tej sprawy, zastanówmy się nad rzeczą. Co może być celem spotkania monarchów austriackiego i włoskiego w Wiedniu? Nie omylimy się chyba twierdząc, że prosta demonstracya polityczna, szach w partyi, po którym mać często wcale nie następuje. Bo naprzód monarchowie nie trudnią się tak dalece polityką osobistą, a powtóre, gdyby nią kierować chcieli, mają zbyt wiele środków lepszych porozumienia się, ażeby potrzebowali uciekać się do najmniej odpowiedniego. Operacye polityczne wymagają tajemnicy, tymczasem zjazdy panujących uderzają jawnością stosunku; widocznie zatem idzie w nich nie o to, co robi tajemnica, ale o to, co robi jawność. Ta ostatnia zaś dokonywać może tylko dzieł drugorzędnych, pobocznych, służyć pośrednio utajonym zamiarom politycznym, które dopiero później się wynurzają. Czy reżyserem spotkania w Wiedniu jest Bismark, nie wiemy i odgadywać nie chcemy; istotnie ma on dość siły, ażeby tego rodzaju akty urządzać, ale zarazem zbyt jest płatany we wszystkie przedsięwzięcia polityczne, ażeby na jego przypuszczalny udział można się było zgodzić bez ostrożności. Bądź co bądź, pewnością jest, że dopóki monarchowie składają sobie wizyty, rządzone przez nich narody mogą używać pokoju.

Czy Gambetta odwiedził Bismarka, dotąd mimo najstaranniejszych poszukiwań wyżłów dziennikarskich, nie wyjaśniono. Oba bohaterów widocznie bawiła ta intryga, nie spieszą się też z podniesieniem maski. Tymczasem Gambetta znowu puścił się w podróż po kraju dla rozsypania po nim pereł swej wymowy. Jedyna to pociecha dla Francyi, której nieszczęsna wyprawa tuniska wcale nie osładza życia. Ach, zapomnieliśmy o innem jej weselu. „Nieprzejeżdżani“ z panną Ludwiką Michel na czele odbywają ciągle wiece, na których już z gruntu przerobili Francję, skazali na galery ministrów, oddali pod sąd Gambettę, słowem wysypali ze swego rogu obfitości milion głupstw, zdolnych rozśmieszyć najczarniejsze nspobienie.

Zanim spotkamy się znowu na tem miejscu, sejm niemiecki i Izby francuskie już będą zebrane i dostarczą polityce ciekawszego materiału, niż odkrycia p. Blowitza, korespondenta *Timesa*, podróż Gambetty do Warzina a króla Humberta do Wiednia.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Zakład moralnej poprawy dziecięcy przy ul. Żytniej w Warszawie postanowiono znacznie rozszerzyć; fundusz bowiem tej instytucji wzrósł znakomicie z ofiar prywatnych.

— Z Elizawetgradu donoszą, że na południu Rosji utworzyła się pomiędzy żydami nowa sekta pod nazwą bractwa duchowno-biblijnego. Założycielem tej sekty, która w zasadach swych zbliża się do karaimów, jest jakiś nauczyciel prywatny. Wyznawcy nowej wiary opierają się wyłącznie na Biblii.

— Fabryka Nobela, jedna z największych w Petersburgu, zaprowadziła u siebie bardzo prosty sposób dla zmniejszenia pijaństwa; mianowicie: zamiast wypłaty zarobku tygodniowego w sobotę wypłaca go w niedzielę, przez co robotnicy mają mniej sposobności i czasu do przepijania pieniędzy.

Nauki i szkoły. Zarząd gabinetu zoologicznego petersburskiej akademii nauk przygotował obszerną historię tego gabinetu na obchód 50-letniej rocznicy jego założenia.

— Po niedawno zmarłym profesorze uniwersytetu warsz. Wisłockim katedrę terapii i epizootologii obejmuje prosektor Przewoński.

— Świeżo mianowany docent uniw. warsz. Baraniecki rozpoczyna wykłady kursu geometrii wykresowej dla studentów wydziału matematycznego.

— Do Instytutu technologicznego na kurs I wstąpiło w tym roku 120 uczniów, z tych 45 polaków. Procent nader wysoki.

Przemysł, handel i komunikacje. Koncesję na budowę kolei żelaznych w Bułgarii otrzymał polak, inżynier Struve, generał armii rosyjskiej. W budowie dróg czynny udział przyjmą dwaj inżynierowie, pracujący już od lat kilku w zarządzie dróg i mostów w Bułgarii pp. Al. Haberfeld i Al. Wejsblat, obaj warszawiacy i wychowawcy szkół tutejszych.

— W Petersburgu dokonano próby z nowym urządzeniem do natychmiastowego gaszenia ognia. Rezultat okazał się dobry, ale z powodu wysokiej ceny, aparat z trudnością znajdzie zastosowanie.

— Do Orenburga mieszkańcy sąsiednich prowincji azjatyckich dostarczyli znacznych zapasów bawełny, którą zamieniają na produkty przemysłu rosyjskiego.

— *Goniec urzędowy* ogłasza warunki konkursu z nagrodami za wynalezienie najlepszego systemu pieców piekarnianych, kuchennych i pokojowych.

— Na kolei bałtyckiej prowadzi się doświadczenia co do zastosowania nowego systemu welocypeda do jazdy na kolejach żelaznych dla inżynierów.

— P. Gravier, współpracownik jednego z zakładów technicznych w Warszawie, otrzymał na wystawie elektryczności medal złoty za wynalazek rozprowadzania elektryczności systemem kanalizacji po mieszkaniach dla różnych zastosowań technicznych.

— Opłata od świadectw handlowych w Warszawie przyniosła skarbowi do 13 października za 20,914 sztuk rs. 293,681. Świadectwa subjektów handlowych przyniosły rs. 88,038.

— Inżynier Czackin wykonywa w Petersburgu próby wynalezionej przezeń sposobu przewożenia mięsa w wagonach. Z powodu braku i drożyzny tego produktu w stolicy i koniecznej potrzeby sprowadzania go z odległych okolic, powodzenie tych prób ma wielką wagę i to nie dla samego tylko Petersburga. Główny zarząd dróg żelaznych rosyjskich ofiarował na użytek tych doświadczeń kilka wagonów darmo i zobowiązał się przewozić również darmo po wszystkich kolejach prowadzących do Petersburga.

— Komisja obradująca nad akcyzą od tytoniu uchwaliła następujące przepisy: 1) Tytoń winien być sprzedawany w paczkach ważących niewiecej jak 1/4 funta. 2) Sprzedaż bibułek do papierosów (w książeczkach) zostanie wzbroniona. 3) Gilzy mogą być sprzedawane pojedynczo i w paczkach po sztuk 5, 10 i t. d.

— Na wystawie przemysłowej międzynarodowej w Frankfurcie p. St. Blechschmidt (syn) szewc w Warszawie otrzymał pierwszy medal złoty za obuwie damskie.

— Fabrykanci cukru w Królestwie Polskim postanowili urządzać zjazdy peryodyczne w sprawach swego przemysłu.

Rolnictwo. W Rosji południowej niezwykle w tej porze roku mrozy poczyniły znaczne szkody plantacyom buraków i zbiorom winogron.

— W Odessie otwarto wystawę rolniczą, która zwłaszcza w dziale maszyn bardzo świetnie się przedstawia.

— Ustawa Towarzystwa ogrodniczego krajowego świeżo ułożona w ten sposób określa jego cele: 1) Podawanie sposobów hodowli roślin i ich rozpowszechnienia. 2) Rozdawanie lub tania sprzedaż uczestnikom sadzonek, nasion i całych roślin, oraz podawanie wiadomości o znaczniejszych ogrodach krajowych. 3) Rozdawanie świadectw jako nagród za wzorową hodowlę roślin lub nowo otrzymane odmiany. 4) Urządzenie ogrodu doświadczalnego i czytelnego. 5) Pomoc dla wyższego kształcenia ogrodników. 6) Ogłaszanie konkursów na dzieła treści ogrodniczej. 7) Odczyty z przedmiotów ogrodniczych i nauk przyrodniczych w zastosowaniu do ogrodnictwa. 8) Wysłanie delegatów dla zwiedzania ogrodów i wystaw ogrodniczych w kraju i zagranicą. 9) Urządzanie wystaw ogrodniczych. 10) Zawieranie stosunków z towarzystwami ogrodniczymi krajowem i zagranicznem.

— W winnicach nad Donem pojawił się owad filoksera. W celu zapobieżenia szkodom, minister spraw wewnętrznych polecił przedsięwziąć energiczne środki.

— Komitet wystawy ogrodniczej warszawskiej wysłał zbiór najlepszych owoców na odbywającą się obecnie wystawę ogrodniczą w Frankfurcie. Owoc te otrzymały tam wielki medal srebrny.

Nekrologia. Jan Kanty Steczkowski, doktor filozofii, wysłużony profesor matematyki w uniwersytecie Jagiellońskim umarł d. 16 b. m. w Krakowie. Urodził się dnia 2-go października 1800 r. w Liszkach pod Krakowem, a w roku 1826-ym rozpoczął służbę w tutejszym obserwatorium astronomicznym, profesorem uniwersytetu zaś został w roku 1842, uzyskawszy wpraw (r. 1828) stopień doktora filozofii. W ciągu swego zawodu nauczycielskiego wydał kilka rozpraw i dzieł naukowych z zakresu astronomii i matematyki: *De longitudine geographica*; *De longitudine geographica Cracoviae*; *O kometach, a w szczególności o komecie Halleja*; *O mierzieniu wysokości za pomocą barometru*; w rozprawie *Resultate der an der Krakauer Sternwarte gemachten Beobachtungen*, opracował obserwacje meteorologiczne według ówczesnych najnowszych teorii, a mianowicie co do średniej temperatury miasta Krakowa, wysokości barometru, hygrometru, wiatru i t. d. Za pracę dziesięć lat trwającą przy redukcji 36,000 gwiazd a przez niego dokonaną, nadesłali cesarze Mikołaj i Ferdynand dyrekcji obserwatorium dwa złote medale. Pisał także *O trwałości systemu słonecznego*; skreślił *Krótką wiadomość o Obserwatorium krakowskiem*. Jego *Astronomia popularna* i *Matematyka elementarna* były przez pewien czas podręcznikami w gimnazyach Król. Polskiego. W r. 1863 wysłużywszy 37 lat jako profesor, ponieważ zapadł mocno na wzrok, a szczególnie na słuch, podał się do dymisji, którą też z uznaniem pracy i zasług otrzymał. Od owego czasu mieszkał stale w Krakowie i ciągle pracował, umieszczając w *Czasie* rozprawki swoje popularne z dziedziny astronomii, które wychodziły w osobnych odbitkach.

— Władysław Rudziński nauczyciel języków starożytnych i historyi w II gimnazjum w Warszawie zmarł d. 16 października r. b. Zmarły był zdolnym pedagogiem i zacnym człowiekiem.

— Książę Wasilczykow jeden z najczynnijszych ekonomistów ruskich, autor kilku cennych prac, członek wielu komitetów mających na celu podniesienie stanu ekonomicznego Rosji, zmarł d. 14 października.

— A. A. Kotlarewski prof. uniwersytetu kijowskiego, jeden z najslawniejszych filologów rosyjskich, autor rozprawy *O obyczajach pogrzebowych słowian*, zmarł w Pizle.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K.—n. Nadesłany szkic wydrukujemy. Co do korespondencji, odpowiedź możemy udzielić tylko listownie.

P. Wacławowi Z. Dawno jest naszym współpracownikiem. Zasłania się kryptowymem, bo mu potrzebny.

P. Leśniewskiej w Kalasynie. Przed odbraniem listu z redakcyi Kłosów, *Prawda* już była Pani wysłana.

OFIARY.

Oficyaliści fabryki Jeziorańskiej pp.: Stefan Maszyński, Cezary Nehrabecki, Antoni Chłapowski, Stanisław Rudziński, Teofil Nowicki, Cezary Martynowski, Bolesław Krzywicki, Antoni de Kado, nadesłali na pomnik Mickiewicza rs. 4, dla kurpiów rs. 9. Ponieważ składki na kurpiów są już zamknięte, całą więc sumę rs. 13 przesłaliśmy na pomnik Mickiewicza *Tyg. Ilustrowanemu*.

OGŁOSZENIA.

P. Ludwik Skimborowicz

sukcesor znakomitej biblioteki i wielkiego zbioru rycin, pozostałych po skonię ś. p. brata jego doktora filozofii Hipolita Skimborowicza, życzy sobie **sprzedać prawa** swoje co do pomienionej sukcesji, za przystępną cenę. Ulica Podwał, nr. 24, od god. 12 do 1 z rana.

Świeżo wyszło z druku w dalszym ciągu
Wydawnictwa Spółki Nakładowej

dzieło

QUINETA

pod tytułem

NOWY DUCH

Cena rs. 1 kop. 50.

SKŁAD GŁÓWNY

W CZYTELNI

St. Czarnowskiego

przy ulicy Nowy Świat Nr. 19.

3—2

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.